31-7 79

W numerze m. in.:
M. WIONCZEK
E. CSATÒ
St. J. LEC
St. W. BALICKI
E. KORZENIEWSKA

KUŹNICA

Cena 25 zł — 8 stron | Warszawa, 31 lipca 1949 r. | Nr 30 (202) Rok V

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Każdy się z nas uskarża,
każdy się z nas dziwi,
Że tak bardzo łakomi księża
i tak chciwi.
Póki klerykiem, to nic; jak
wnijdzie do cechu,
I z żywych i z umarłych
drze pleban bez zdechu.

WACŁAW POTOCKI

Mieczysław Jastrun

laureatem nagrody literackiej „Odrodzenia" za rok 1949

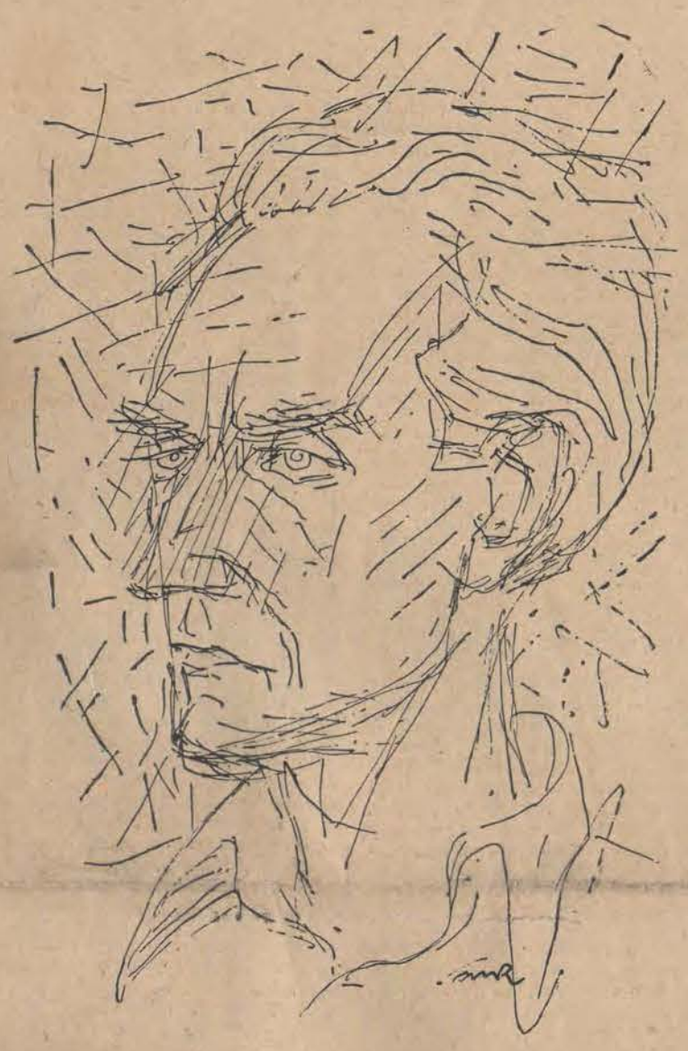

rys. Marek Rudnicki

Na posiedzeniu dn. 19 lipca b.r. jury nagrody literackiej „Odrodzenia" przyznało tegoroczną nagrodę Mieczysławowi Jastrunowi za monografię powieściową p.t. „Mickiewicz". Redakcja „Kuźnicy" z prawdziwą radością wita orzeczenie jury. O książce Jastruna pisaliśmy niedawno, stwierdzając, że stanowi ona „wizerunek prawdziwy" Mickiewicza, wizerunek napisany przez autora, który nie tylko umiał zrozumieć wielkość i znaczenie Mickiewicza dla narodu, ale sam odczuł tę wielkość i to znaczenie jako poeta. Książka Jastruna, owoc wieloletnich studiów, wieloletniego obcowania autora z Mickiewiczem, jest dokumentem świadczącym o stosunku naszej epoki, naszego społeczeństwa do największego polskiego poety. Jastrun wniósł w książkę swoją poważne przygotowanie fachowe i poetycką inspirację twórczą.

Mieczysław Jastrun posiada wykształcenie filologiczne. W roku 1929 na podstawie pracy o Słowackim otrzymał doktorat filozofii. Przez wiele lat, aż do wybuchu wojny, pracował jako nauczyciel języka polskiego. Równolegle do studiów pracuje literacko. Pierwszy zbiór poezji. „Spotkanie w czasie" wydaje w 1929 r. W następnych latach do roku 1939 wychodzą: „Inna młodość" (1933), „Dzieje nieostygłe" (1935), „Strumień i milczenie" (1937). Już wtedy książki te wyróżniały się spośród ówczesnej produkcji poetyckiej głębokim ludzkim zastanowieniem i siłą uczucia poetyckiego.

W czasie okupacji Jastrun wykłada w szkole podziemnej w Warszawie, drukując jednocześnie wiersze w demokratycznej prasie konspiracyjnej. W okupowanej Warszawie powstaje większość utworów zawartych w wydanej później „Rzeczy ludzkiej" i zbiór wierszy „Godzina strzeżona". W lipcu 1944 roku przenosi się z Warszawy do Międzylesia, uchodząc przed poszukującym go gestapo. Po wyzwoleniu przez Armię Radziecką udaje się do Lublina, gdzie wydaje pierwszy powojenny zbiór wierszy „Godzina strzeżona". W lutym 1945 roku poeta zamieszkuje w Łodzi, gdzie wkrótce obejmuje stanowisko zastępcy redaktora naczelnego i kierownika działu poetyckiego „Kuźnicy".

W roku 1946 wychodzi następny tom poezji: „Rzecz ludzka". W ciągu czteroletniego pobytu w Łodzi prócz „Rzeczy ludzkiej" Jastrun wydaje „Poezje wybrane" (1947), „Sezon w Alpach" (1948) oraz wespół z Sewerynem Pollakiem antologię „Dwieście lat poezji rosyjskiej" (1947). Jastrun jest doskonałym tłumaczem poetów rosyjskich i francuskich w szczególności Puszkina, Bagrickiego, Majakowskiego, Rimbauda, Aragona i Eluarda. Ponadto ogłasza w czasopismach literackich szereg prac publicystycznych i literackich, poruszając najbardziej aktualne zagadnienia życia kulturalnego i społecznego.

W 1946 roku Jastrun otrzymał nagrodę miasta Łodzi.

Poezja Jastruna, prawdziwie społeczna, pełna głębokich treści humanistycznych, pełna troski o człowieka i jego sprawy, świetna pod względem formalnym — zapewniła mu jedną z najwyższych pozycji w dzisiejszej literaturze polskiej. Jego książka o Mickiewiczu jest niejako dopełnieniem znakomitej twórczości poetyckiej laureata i świadczy o jej głębokich związkach z najlepszymi tradycjami kultury polskiej.

JULIUSZ STARZYŃSKI

W stronę wielkiej sztuki

W OGNIU ostrej krytyki kształtuje się nowa myśl o sztuce. Samo życie, potężny proces wkroczenia milionowych mas ludowych do świadomego uczestnictwa w budowaniu nowej, socjalistycznej kultury — jest czynnikiem najmocniejszej interwencji godzącej we wszelką samotniczą lub zgoła egocentryczną postawę artysty. To zobowiązuje do gruntownego zrewidowania założeń twórczych, to zmusza do stanowczego zerwania z ograniczonością schyłkowych doktryn estetycznych, które wciąż jeszcze krępują polską sztukę współczesną na drodze do prawdziwego, zdobywczego nowatorstwa.

Postulat realizmu, wskazujący drogę do realizmu socjalistycznego, jest tym ładunkiem ideowym, który winien wypełnić polską sztukę współczesną duchem wielkiej ofensywy i przyczynić się do przełamania tak bardzo jeszcze rozpowszechnionej postawy czysto zmysłowego smakowania świata, wrażliwego rejestrowania powierzchowności zjawisk oglądanych wyłącznie poprzez pryzmat jednostki. Tymczasem świat cały jest do zdobycia i do zbudowania w nowym, artystycznym sensie. Po twórcach naszej epoki oczekujemy entuzjazmu i pasji odkrywczej co najmniej tak samo mocnej, jak ta, którą posiadali wielcy malarze i rzeźbiarze wczesnego renesansu na przełomie średniowiecza i czasów nowożytnych. Oni również, postawieni wobec nowej realistycznej prawdy, podejmowali pracę gruntownego przebudowania swych warsztatów, wykuwali przebogaty arsenał własnych środków artystycznych dla wyrażenia nowej wiedzy o człowieku i świecie.

*

Przeprowadzone w ostatnich czasach dyskusje programowe, zwłaszcza obrady IV Walnego Zjazdu Delegatów Związku Polskich Artystów Plastyków w Katowicach — są dowodem, że ogół twórców dobrze sobie zdaje sprawę z konieczności gruntownej przebudowy wewnętrznej i że proces dokonującej się przemiany znacznie się pogłębił w świadomości naszych artystów. Są jednak liczne opory i nieporozumienia, występujące z całą jaskrawością w chwili, gdy trzeba wyjść poza ogólnikowe, deklaratywne określenia i przemówić konkretnym językiem warsztatu. Ogromna większość naszych plastyków przyjmuje społeczną służbę sztuki i zgadza się z płynącymi stąd postulatami humanizmu, nowych treści i nowej tematyki. Konflikty i rozbieżności na dobre rozpoczynają się wtedy, gdy wchodzi w grę zagadnienie środków artystycznego wyrazu, gdy trzeba dla nowej tematyki znaleźć nową formę.

W tych warunkach rola krytyki artystycznej wydaje się ze wszech miar doniosła. Tylko najściślejsza współpraca twórców z teoretykami i historykami sztuki może doprowadzić do niezbędnego uporządkowania w panującym obecnie chaosie pojęć estetycznych. Tylko na tej drodze rzetelna krytyka może przyczynić się do naprostowania pogmatwanej obecnie linii rozwojowej polskiej plastyki. Powiedział kiedyś Baudelaire: „krytyka musi być stronniczą, namiętna, polityczna, to znaczy dokonywana z ekskluzywnego punktu widzenia, ale z tego punktu widzenia, który otwiera najszersze horyzonty..." Taką właśnie krytykę czujną i przenikliwą, organicznie zrośniętą z życiem i twórczością swego społeczeństwa — widzimy obecnie w Związku Radzieckim.

Krytyka artystyczna w nowoczesnym społeczeństwie budującym socjalizm — nie może mieć nic wspólnego z dawną wylęgarnią snobizmów lub krzykliwym reklamiarstwem różnych kapliczek piękno-duchowskich estetyzmów. Krytyka ta, posługująca się najnowocześniejszym narzędziem poznawczym metody naukowej, powinna, w ścisłym związku z postępową społecznie myślą swego czasu, demaskować wszelkie przejawy artystycznego zastoju zwłaszcza wtedy, gdy są one ustrojone w kostium pseudo-nowoczesności. W imię prawdziwego, twórczego nowatorstwa, które może wyrastać tylko na gruncie historycznej rzeczywistości, z ludzkiej solidarności, z głębokiego wrośnięcia w w problematykę swego czasu i środowiska — krytyka ta znajdzie właściwą normę oceny, w oparciu o zdolność jasnego rozgraniczenia pomiędzy dniem wczorajszym a dzisiejszym, przez ustawienie jednego i drugiego w ścisłym kontekście historycznych powiązań.

*

Zadaniem krytyki posługującej się naukową analizą zjawisk historycznych jest rozbicie szeregu przestarzałych poglądów estetycznych, które krępują współczesną myśl twórczą i nie pozwalają jej zająć prawdziwie postępowego, humanistycznego stanowiska. Jednym z najgroźniejszych, sięgających XIX stulecia estetycznych przesądów jest sprawa tzw. „czystości" poszczególnych gatunków sztuki. Koncepcja czystego malarstwa, czystej muzyki, czystej poezji — jest jednym z estetycznych przesądów schyłku XIX i początków XX stulecia. Dalszy proces na tym tle prowadził do swego rodzaju samozagłady i zwyrodnienia. W trosce o czystość absolutną danego gatunku sztuki następowało coraz to dalsze ograniczanie jego możliwości wyrazowych i zakresu oddziaływania. To przespecjalizowanie w malarstwie, np. w impresjonizmie, przejawiło się zatratą humanistycznych treści i humanistycznej tematyki w sztuce współczesnej, jednostronnością pejzażu i martwej natury.

Z tej właśnie chorobliwej tendencji wynika wiele niedomagań malarstwa współczesnego, a nade wszystko jego, tak często obserwowana nieporadność wobec postaci ludzkiej i wielkich zadań kompozycyjnych. Gdy dziś zadania te w całej swej powadze stają przed malarzem, gdy żądamy od jego sztuki wyrażania wielkich treści społecznych, tworzenia wizji na miarę przeżyć masowych i dynamiki naszego czasu — jakże często rozbrzmiewa lękliwy lub małoduszny głos artysty, kurczowo trzymającego się swych dotychczasowych zamiłowań i przyzwyczajeń: „Czy nie za wiele od nas żądacie? Dlaczego nasza sztuka, której właściwym żywiołem i jedynym zakresem jest zaspokajanie głodu najsubtelniejszych doznań wzrokowych, wnikanie w tajniki koloru i światła, uroki wschodów i zachodów słońca — dlaczego ma ona wchodzić w cudze zakresy, konkurować z filozofią lub literaturą?..."

Głos taki, jeżeli nawet niewypowiedziany, bardzo często stoi u podstawy zastrzeżeń lub oporów naszych „purystów" sztuki plastycznej czy to spod znaku postimpresjonistycznych smakoszy koloru, czy też postkubistycznych fanatyków formy. Tym skłonnościom sztucznego ograniczenia zakresu i możliwości wyrazowych plastyki, skłonnościom do traktowania tematyki w obrazie jako pretekstu, a praktycznie biorąc, do unikania tematyki — przeciwstawić należy potężną sumę faktów, które rejestruje historia sztuki różnych epok, narodów i ras. Przecież cała historia sztuki, jaką znamy, jest jednym wielkim świadectwem przemian formy dokonujących się zawsze pod naporem nowych treści, nowej ideologii. Formalistyczne ujęcie historii sztuki, jakie nam proponują zwolennicy tzw. czystej plastyki lub czystego malarstwa, już w samym założeniu nie znalazłoby miejsca dla zjawisk takich, jak np. pompejańskie freski w „Villa dei Misteri", mozaiki bizantyńskie, pomniki kondotierów, jak „Gattamelata" Donatella lub „Colleoni" Verrochia, „Czterej apostołowie" lub „Jeźdźcy Apokalipsy" Dürera, malowidła kaplicy Sykstyńskiej lub „Sąd Ostateczny" Michała Anioła, wiele spośród najdojrzalszych obrazów Tycjana i Tintoretta, sceny biblijne lub „Syn marnotrawny" Rembrandta, liczne dzieła Rubensa, Davida, Goyi, Daumiera, Delacroix i wielu innych.

Mówią nam nieraz o tzw. wieczystych wartościach malarstwa upatrując je właśnie w dziełach rzekomo oderwanych od tematyki swego czasu, wyrażających spokojne bytowanie człowieka w jego najprostszej codzienności, kontemplację natury, wschody i zachody słońca, zacisze domowego zakątka. Mówią nam: Claude Lorrain, Vermeer van Delft lub Chardin — oto prawdziwe, „czyste" malarstwo, wolne od przerostów literatury lub anegdoty. Zapomina się przy tym pochopnie, że nawet to malarstwo, na pozór tak bardzo dalekie od wyrażania jakichś konkretnych treści socjalnych swego czasu, jest w każdym szczególe najściślej zdeterminowane momentem historycznym, w którym powstało, że siła jego oddziaływania polega właśnie na tym organicznym związaniu z określoną rzeczywistością historyczną, że jest ono od początku do końca wiernym odbiciem horyzontów myślowych właściwych danej klasie i środowisku: n.p. mieszczaństwa holenderskiego w dobie najwyższego rozkwitu jego swobód republikańskich lub mieszczaństwa francuskiego w przededniu Wielkiej Rewolucji.

*

Myśląc o sytuacji współczesnego malarstwa polskiego lub przebiegając historię plastyki europejskiej początków XX stulecia — nie możemy nie dostrzec wielkiej siły i entuzjazmu i wysokich wartości twórczych, jakie okres ten przyniósł. Trzeba jednak okres ten skrupulatnie przejrzeć, wyróżnić w nim pozycje mogące być punktem wyjścia dalszego rozwoju w kierunku realistycznym. Należy poddać równie wnikliwemu przeglądowi malarstwo nasze XIX wieku, celem odkrycia i pokazania przebiegającej przez ten okres linii rozwoju. Określiwszy właściwą bazę postępowej i narodowej tradycji malarstwa polskiego, rzućmy jaśniejsze światło na sprawę dalszego rozwoju w poszukiwaniu naszej polskiej odpowiedzi na powszechny i słuszny postulat realizmu socjalistycznego.

Zwrócenie się do najgłębszych źródeł narodowych malarstwa polskiego nie oznacza bynajmniej przekreślenia zasług i osiągnięć, jakimi może się wykazać plastyka nasza w dwudziestoleciu międzywojennym. Niewątpliwą zasługą najlepszych malarzy naszych tego okresu było podniesienie moralności artysty, przeciwstawienie się wszelkim odmianom powierzchownego efekciarstwa, łatwizny i tanich chwytów pseudoludowości. W chwili obecnej jednak niewątpliwe objawy zastoju w malarstwie polskim muszą budzić uzasadniony niepokój. Wejście na drogę prawdziwego nowatorstwa, głębokiego humanistycznego przełomu może nastąpić tylko wtedy, gdy konieczność przebudowy wewnętrznej i ściśle z nią związana konieczność gruntownej przebudowy warsztatu twórczego stanie się powszechną świadomością artystów.

W tej trudnej i odpowiedzialnej pracy artyści Polski dzisiejszej winni pamiętać, że nie grozi im samotność, tak często będąca udziałem twórcy w epokach minionych. Historia sztuki zna wiele przykładów moralnego buntu artystów przeciwstawiających się narzucanym, pustym schematom pojęciowym wrogiego im otoczenia. Bunt Michała Anioła, Rembrandta, El Greca lub Van Gogha, był to bunt samotniczy w imię wyczulonej wrażliwości moralnej lub wysublimowanego smaku przeciwstawiającego się przygniatającej tępocie dworskiego, kościelnego lub mieszczańskiego otoczenia. Kończył się też zwykle ucieczką w mistycyzm lub katastrofę osobistą a nawet szaleństwem.

Czasy dzisiejsze, związanie się twórców sztuki z ruchem robotniczym i ludowym, rozrywają zaklęte koło samotności, w którym niejednokrotnie zniekształcało się dzieło artysty skazane na ograniczoność elitarnego odbiorcy. Przed polską plastyką dzisiejszą otwiera się perspektywa wspaniałego rozkwitu, przy ogromnie rozszerzających się możliwościach promieniowania, perspektywa, do której dążyć należy wielkim wysiłkiem wewnętrznej przebudowy.

Juliusz Starzyński

UCHWAŁA PREZYDIUM ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZW. LITERATÓW POLSKICH

18 lipca Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich obradujące pod przewodnictwem Jarosława Iwaszkiewicza powzięło następującą uchwałę:

„Lublin, prastary gród polski, pełen wielkich pamiątek i najlepszych tradycji naszej przeszłości historycznej, stał się w ostatnim czasie widownią smutnych i gorszących wypadków. Reakcyjny odłam kleru polskiego, nadużywając religijnych uczuć ludności katolickiej zorganizował niesmaczne widowisko, które nie miało nic wspólnego z powagą wiary i kultu chrześcijańskiego.

Na placu przed katedrą lubelską wskrzeszono widmo średniowiecza. „Cud lubelski" był świadomie zorganizowaną demonstracją przeciwko władzy ludowej, przeciwko potężniejącemu wciąż pędowi do odbudowy kraju, przeciwko dążeniom mas ludowych do kultury i wiedzy.

Demonstrację zorganizowano w okresie, kiedy lud polski zrzuca z siebie odwieczne okowy zacofania i ciemnoty. Oto polityczne i społeczne tło „cudu", który odsłania złą wolę i szkodliwość zamierzeń jego inicjatorów.

Zarząd Główny Związku Literatów Polskich potępia jak najostrzej nieodpowiedzialne poczynania ludzi którzy usiłują rzucać kłody na drodze gospodarczego, społecznego i kulturalnego postępu naszego kraju".

MIECZYSŁAW WIONCZEK

HISTORIA PEWNEJ KLĘSKI

New York, w lipcu.

ZNAM tylko jeden odpowiednik końca kariery Jamesa Forrestala w nowszej historii świata. Latem 1821 roku, w przededniu końcowych rokowań architektów Świętego Przymierza we włoskiej Weronie, lord Robert Castlereagh, jeden z pogromców Napoleona, popełnił samobójstwo w ataku manii prześladowczej. Minister obrony USA, James Forrestal, w życiu prywatnym wielbiciel poezji starożytnej, wybrał sobie na nagrobną winietę inny — mityczny — przypadek. W jego pokoju szpitalnym znaleziono po samobójstwie książkę otwartą na fragmencie tragedii Sofoklesa o Ajaksie, towarzyszu Agamemnona.

Ajaks Telamończyk, król Salaminy, uczestnik wojny trojańskiej — notują kompendia do Homera i tragików greckich — ubiegał się o zbroję po Achillesie. Kiedy przypadła Odyseuszowi, oszalał z gniewu i urażonej miłości własnej, i ośmieszony szarżą na stado baranów, które wziął za armię nieprzyjacielską, odebrał sobie życie. Paralela Ajaks-Castlereagh-Forrestal zostawia wiele miejsca wyobraźni poetów i dramaturgów. Przypuszczać też należy, że wiele piór przyciągnie historia człowieka, który przez cztery lata po ostatniej wojnie światowej miał wpływ tak wielki na losy narodów i kontynentów. Chyba, że ustosunkują się one do waszyngtońskiego Ajaksa tak, jak Byron i Shelley odnieśli się do lorda Castlereagh, pisząc na zgon jego jedynie krótkie i szyderczo epitafia.

Zostawiając poetom i psychiatrom glossy do indywidualnego losu i tragedii amerykańskiego ministra obrony, zająć się warto casus Forrestal jako wycinkiem rzeczywistości amerykańskiej naszych czasów. Domaga się tego wszystko: jego iście „amerykańska kariera", jego pozycja w świecie banków i trustów między dwiema wojnami, jego rola w skali światowej po drugiej wojnie światowej, wreszcie jego koniec.

Przez lata trzydzieste XX-go wieku — lata rozkwitu faszyzmu światowego — James Forrestal był jednym nie z tysiąca, ale ze stu ludzi, którzy sprawowali kontrolę nad finansowym mechanizmem świata kapitalistycznego. Z drugiej wojny światowej wynurzył się już nie jako jeden ze stu, ale jeden z dziesięciu ludzi decydujących w USA o sprawach wojny i pokoju. Epilogiem jego kariery był krótki komunikat prasowy z szpitala wojskowego pod Waszyngtonem, który rzeczywiście wstrząsnął Ameryką tak, jak eksplozja w Hiroszimie. Komunikat, ogłoszony rankiem majowej niedzieli 1949 roku, brzmiał: „Były minister obrony USA, James V. Forrestal odebrał sobie życie, wyskakując z okna szesnastego piętra szpitala".

Znany dramaturg amerykański Arthur Miller w granej właśnie na Broadwayu sztuce „Śmierć sprzedawcy", która kończy się także samobójstwem głównej postaci, włożył w usta swego bohatera, Willy Lomana, następującą receptę powodzenia życiowego: „Najważniejszą rzeczą w życiu jest sprzedawać i być lubianym przez otoczenie". Przed rokiem 1940, w którym James Forrestal został asystentem Prez. Roosevelta, wcielał on w stopniu doskonałym pierwszą część recepty Willy Lomana. Jego oficjalna biografia stwierdza, że „James Forrestal, po przerwaniu studiów na uniwersytecie w Princeton na skutek trudności finansowych, pracował kolejno w wydziale zakupów New Jersey Zinc Company i w wydziale sprzedaży Tobacco Product Company. Po pierwszej wojnie światowej, którą przebył w randze porucznika marynarki, wstąpił do wydziału statystycznego firmy W. A. Read and Co na Wall Street, która w krótkim czasie uległa przekształceniu w dom bankowy Dillon, Read and Co. Jako niezwykle uzdolniony sprzedawca obligacji rządowych, został po kilku latach wspólnikiem firmy i w roku 1938 jej prezydentem".

Dillon, Read and Co, to jeden z sześciu największych inwestycyjnych domów bankowych w USA. Podobnie jak cała kapitalistyczna superstruktura Ameryki nie znosi on rozgłosu. Jest to business miliardowy. Pewne szczegóły działalności firmy ujawnione zostały podczas Wielkiej Depresji lat trzydziestych, w okresie słabości Wall Street, kiedy cała Ameryka poszukiwała winnych katastrofy narodowej. W czasie prac senackiej komisji śledczej, tzw. inwestygacji Pecory, Clarence Dillon, założyciel firmy i poprzednik Jamesa Forrestala na stanowisku jej prezydenta, składał — jedyny chyba — publiczny rachunek ze swej działalności. Przedstawiona przezeń lista jednego z odcinków transakcji domu bankowego Dillon, Read and Co — James Forrestal był już wówczas jego wspólnikiem — opiewała na sumę 286.425.000 dolarów. Była to lista kredytów udzielonych za pośrednictwem firmy ciężkiemu przemysłowi niemieckiemu w latach powersalskich. Nie dowiemy się pewnie nigdy, jaka część tych transakcji przeszła przez ręce przyszłego waszyngtońskiego Ajaksa uważanego za najlepszego sprzedawcę firmy Dillon, Read and Co w tych czasach. Możemy domyślać się tylko ich rozmiarów z szybkości jego kariery i jego fortuny. James Forrestal zeznając także przed komisją Pecory w r. 1933 oświadczył, że „uniknął zapłacenia 95 milionów dolarów podatku dochodowego, zakładając dwie prywatne korporacje w Kanadzie i stanie Delaware". Jeśli brak informacji o innych aspektach międzywojennej działalności Jamesa Forrestala, to dlatego, że jako bankier-sprzedawca doskonały był zawsze entuzjastą anonimowości. W czasach waszyngtońskiej kariery rządowej przyznał się kiedyś znajomemu dziennikarzowi, że „jego prywatną pasją jest anonimowość". Ta właśnie pasja — twierdzą mitologowie Forrestala — sprawić miała, że na niego padł wybór Roosevelta w roku 1940, kiedy Prezydent kompletował rozbudowywaną gwałtownie administrację waszyngtońską. Znawcy Ameryki widzą w decyzji Roosevelta posunięcie taktyczne. Ten genialny „amerykański polityk" zmierzał przez nominację Forrestala do pozyskania sobie potężnego domu bankowego, którego rolę w życiu Stanów Zjednoczonych znał lepiej, niż ktokolwiek inny.

Faktem jest, że unikający rozgłosu, ceniony na Wall Street James Forrestal był w latach pożaru Reichstagu, wojny hiszpańskiej i Monachium jednym z gigantycznych manipulatorów finansowych Ameryki. Z enuncjacji Mr. Dillona wynika, że manipulacje ich firmy obejmowały całą kulę ziemską, wprawiały w ruch giełdy Londynu, New Yorku i Szanghaju, miały wpływ na ceny i notowania dóbr wszystkich kontynentów. Trudno znaleźć wdzięczniejszy obiekt od prezydenta Dillon, Read and Co, gdy się szuka symbolu bankiera doskonałego, urzędującego przy tablicy rozdzielczej z nazwami geograficznymi i wielocyfrowymi liczbami. Świat Forrestala — bardziej niż czyjkolwiek inny — miał smak magii i mistyki: nie było w nim żywych ludzi ani społeczeństw, były tylko cyfry i notowania zysków i strat. A raczej — tylko zysków, gdyż Wall Street nie zwykła notować strat. Trudno zapomnieć niedawne ogłoszenie w jednym z organów finasjery amerykańskiej, zaczynające się od słów: „Dysponujemy najbardziej zyskownymi inwestycjami, niezależnie od tego, czy przyszłość przyniesie pokój czy wojnę").

Ze świata anonimowego sukcesu bankier Forrestal uczynił w roku 1940 krok do administracj waszyngtońskiej. Z wiedzą nagromadzoną w latach prezydentury na Wall Street nie trudno mu było obracać się w Waszyngtonie. W sześć tygodni po przybyciu na zaproszenie Roosevelta do Białego Domu — objął urząd wiceministra marynarki. Manipulowanie nią — choć w innym sensie — było równie wielkim przedsięwzięciem, jak manipulowanie domem bankowo-inwestycyjnym. Marynarka wojskowa była businessem miliardowym także i chodziło o jak najszybszą jej rozbudowę. Współpracowało się w niej z tymi samymi kołami, które jako klienci firmy Dillon, Read and Co przysporzyły przedtem Jamesowi Forrestalowi laurów do sławy „sprzedawcy doskonałego". Nowy człowiek administracji waszyngtońskiej spełniał wymagania i wojskowych, i bankierów. Był jako niezwykły technik - administrator cennym nabytkiem dla amerykańskiej machiny wojennej; był równie nieocenionym nabytkiem z punktu widzenia interesów big businessu. Stanowił klasyczny egzemplarz wojennej flory waszyngtońskiej, pełnej „jednodolarowych generałów", przedstawicieli elity finansowej, którzy oddawali się na usługi państwa w zamian za rangi generałów i symboliczne wynagrodzenia.

Śmierć Roosevelta i koniec wojny w Europie zastaje Jamesa Forrestala na stanowisku sekretarza marynarki i członka gabinetu. Mało wiadomo dotąd o bataliach i manewrach, jakie toczyły się wiosną 1945 roku za plecami następcy Roosevelta. Jeszcze mniej wiadomo o roli odegranej w nich przez Jamesa Forrestala, entuzjastę anonimowości. Brak jednak bardziej pouczającego dowodu charakteru ówczesnych manipulacji od historii pewnego pułkownika piechoty, w cywilu wiceprezydenta domu bankowego Dillon, Read and Co. Z dowódcy garnizonu ćwiczebnego na Hawajach zaawansował osławiony gen. William Draper — o nim bowiem mowa — w końcowych tygodniach wojny na stanowisko doradcy ekonomicznego armii amerykańskiej w Niemczech. Gdyby też miało sens mówić o indywidualnej odpowiedzialności za zachowanie w Niemczech i Japonii kapitalistycznej nadbudowy, której symbolami są IG Farben i Zabaitsu, gen. William Draper, najbliższy człowiek Jamesa Forrestala ma prawo pretendować do pierwszego miejsca na takiej liście.

Kiedy w roku 1947 proces powojennej reorganizacji administracji waszyngtońskiej dobiegł końca, James Forrestal urzędował w Pentagonie już jako nie minister marynarki, ale jako minister obrony. Największy sprzedawca Wall Street był obecnie administratorem największego „przedsiębiorstwa" świata: połączonych armii, marynarki i lotnictwa USA o rocznych wydatkach ponad 10 miliardów dolarów. Identyfikacja Wall Street i rządu amerykańskiego przybrała w jego osobie formy nieznane przedtem w historii Stanów Zjednoczonych. W wyniku rozbudowy big businessu stało się to, czego obawiał się jeden z wojennych doradców cywilnych Roosevelta, Harry Hopkins. Pisał on w miesiąc po Poczdamie, podkreślając, że przyszłość świata leży we współpracy zwycięskiej koalicji antyhitlerowskiej: „naród amerykański musi strzec się, aby władza w Stanach Zjednoczonych nie dostała się w ręce małej grupy, która z wielu powodów chciała klęski wojennej Związku Radzieckiego i mówiła publicznie, że wszystko jedno, czy w Europie zwycięży Hitler czy Związek Radziecki. Ta mała, potężna grupa wykorzysta wszelkie spory między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, aby je skłócić".

Na zwycięstwo owej „małej lecz potężnej grupy" złożyło się wiele: małość następcy Roosevelta, o której wiedzieli w roku 1944 leaderzy partii demokratycznej nominujący sen. Trumana na stanowisko wiceprezydenta; wzrost sił i koncentracja kapitału amerykańskiego w ciągu wojny oraz zobojętnienie mas amerykańskich, które miały dość wojny, chciały „powrotu do normalności" i nie dbały o to, co działo się zarówno w stolicy USA, jak na peryferiach zwycięskiej Ameryki, nad Łabą i na Pacyfiku. Do tego, aby ogarnąć wszystko, trzeba było albo być Rooseveltem, którego zbrakło, albo manipulatorem w skali światowej w rodzaju „sprzedawcy doskonałego" z domu bankowego Dillon, Read and Co.

Czytelnicy książki „Nadzy i zmarli" wybitnej wojennej powieści amerykańskiej, napisanej przez żołnierza z Pacyfiku, Normana Mailera, znają doskonale postać generała Cummingsa. Cummings, postać wzięta z życia, dowódca fikcyjnej inwazji na wyspie Anapopei, to nie bardzo maskujący się faszysta. Dla niego wojna była przede wszystkim zadaniem technicznym, które samo przez się ma rację istnienia; była szeregiem operacji, do złudzenia przypominających operacje techniczno - bankowe. W umyśle gen. Cummingsa, walczącego z Japończykami, z chłodem maszyny do liczenia, tkwiło jedno wielkie marzenie: pragnął dorwać się pewnego dnia do „czerwonych" w celu „ostatecznego uporządkowania świata", który potem funkcjonować miał właśnie jak maszyna do liczenia, na polecenia, wysyłane z dyspozycyjnego centrum świata w Waszyngtonie. Gen. Cummings różnił się znacznie od powieściowych czy autentycznych sierżantów, których najwyższym ideałem jest mityczny „porzundek", czy od oficerów niemieckich, których sensem istnienia było „Ordnung muss sein". Dowódca inwazji na Anapopei posiadał określoną, pełną faszystowską wizję świata. Poza tym gen. Cummings, którego żywe kopie znane są z relacji pisarzy amerykańskich, wędrujących po wojnie po terenach okupowanych przez USA, gardził człowiekiem i rodzajem ludzkim. Jedynym sensem istnienia ludzkości miało być sprawne funkcjonowanie machiny świata. Wszystko wskazuje na to, że bankiersko-wojskowa elita stolicy USA, na której szczycie stał przez cztery powojenne lata James Forrestal, usiłowała realizować pomysły i tęsknoty fikcyjnego generała z Anapopei.

James Forrestal, według zgodnej opinii wszystkich „najciężej pracujący człowiek" w Waszyngtonie, znalazł w kwietniu 1948 roku, kiedy — jak wiadomo dzisiaj — sytuacja międzynarodowa była niezwykle naprężona, dość czasu na napisanie artykułu dla tygodniowego magazynu wpływowego „New York Timesa". Artykuł ten, wykład filozofii sekretarza obrony, ostro krytykował aktualny system rządów w USA, jako nie dostosowany do sytuacji, w której „albo Ameryka potrafi poprowadzić swoje narodowe sprawy z najwyższą energią, jednością i skutecznością albo stanie się odpowiedzialna — przez zaniedbanie — za upadek Zachodniej Cywilizacji". Artykuł domagał się szybkiego szkolenia grup specjalistów, które potrafią zespołowo rządzić Ameryką. Odrzucając zarzuty, że zbyt wielu wojskowych znalazło się w elicie rządzącej Waszyngtonem, James Forrestal domagał się stworzenia systemu szkolenia cywilnych administratorów według wzorów wojskowych. Pisał, że „program cywilny nie powinien oczywista być dokładną kopią wzorów wojskowych, ale służba cywilna powinna stworzyć program szkolenia cywilnych generałów-administratorów tak jak armia, lotnictwo i marynarka produkują generałów i admirałów". Przy okazji wskazał na swój ideał cywilnego administratora: był nim ówczesny podsekretarz stanu, inny bankier amerykański — Robert Lovett.

James Forrestal — pisano w epitafiach po jego zgonie — w ciągu ostatnich trzech lat spędzał w swym biurze w Pentagonie szesnaście godzin dziennie przez siedem dni w tygodniu. Oficjalna wersja przyczyn samobojstwa twierdzi, że „zapracował się na śmierć w służbie ojczyzny". Nie ulega wątpliwości, że ten duchowy krewny Willy Lomana z dramatu Millera i gen. Cummingsa z powieści Mailera, zamierzał na swój sposób „zbawić" świat. Trudno określić dokładnie, kiedy do opanowanej w młodości sztuki kontrolowania świata manipulacjami finansowymi domieszał się u Jamesa Forrestala kompleks zbawcy świata przez gwałtowne, atomowe „uporządkowanie" go. Faktem jest, że żaden z wcześniejszych i współczesnych mu przedstawicieli kapitalistycznej nadbudowy USA nie miał do swej dyspozycji narzędzi, jakie dostały się w ręce Forrestala, kiedy objął urząd sekretarza obrony. Tymi narzędziami były — broń atomowa i rozrośnięty niezwykle w czasie wojny potencjał przemysłowy Stanów Zjednoczonych. Okres czasu spędzony bez wypoczynku przez Jamesa Forrestala w Pentagonie poświęcony też był bez reszty przygotowaniu do użycia tych narzędzi w akcji „uporządkowania świata". Nie ulega wątpliwości, że zdaniem Forrestala dzień ten zbliżał się pośpiesznie i że on sam myślał o świecie w kategoriach apokaliptycznych.

Wiele złożyło się na to, że marzenia sekretarza obrony USA nie ziściły się. Po pierwsze to, że ów gigantyczny manipulator i technik doskonały żył od czasów swoich sukcesów w domu bankowym Dillon, Read and Co w nierealnym świecie cyfr i wielkości pozaludzkich. Po drugie — fakt, że naród amerykański nie był i nie jest jeszcze gotów do przyjęcia „dobrych rad" i faszystowskich marzeń generałów Cummingsów. Po trzecie, że James Forrestal nie działał w świecie, który dałby się modelować jak plastelina. Strona, która miała być „uporządkowana", wykazała znacznie więcej prężności, siły i opanowania, niż tego oczekiwało otoczenie Jamesa Forrestala.

Wiosna i lato 1948 roku były — wydaje się — szczytowym punktem potęgi Jamesa Forrestala. Wykorzystał to maksymalnie. 30 marca r. 1948 szef policji w New Yorku zaalarmował głównych urzędników miejskiej obrony cywilnej z czasów ostatniej wojny, aby „przygotowali się na wszelką ewentualność". Zapowiedział równocześnie szybkie zbadanie archiwów członków pomocniczej służby policyjnej z czasów wojny dla określenia, kto z nich może być powołany z powrotem do służby nadzwyczajnej. Kilka dni przedtem dziennik „New York Herald Tribune" donosił, że nowojorskie biuro poborowe oblegane jest przez byłych członków komisji poborowych, ofiarujących z powrotem swe usługi.

Oba wydarzenia nowojorskie są tylko próbkami nastrojów, jakie panowały w pewnych środowiskach w Ameryce wczesną wiosną 1948 roku. Owe paniczne nastroje wojenne, fabrykowane umiejętnie przez Pentagon, prasę i radio, sprawiły, że dla bardzo wielu Amerykanów wybuch trzeciej wojny światowej w ciągu tych tygodni wydawał się niewątpliwy. (Po zgonie Forrestala jeden z poważnych komentatorów lewicowych pisał, że w „ciągu ostatniego półtora roku minister obrony USA zapraszał do siebie na zamknięte zebrania znanych w całym kraju dziennikarzy i komentatorów radiowych; w czasie tych odbywanych regularnie zebrań Forrestal wielokrotnie przepowiadał dokładne daty wybuchu wojny. Audycje radiowe i artykuły pisane zgodnie z linią konferencyj Forrestala przyczyniły się do stworzenia atmosfery, z której wyrósł ostateczny kształt amerykańskiej polityki zagranicznej w postaci paktu atlantyckiego. Histeria podsycana przez konferencje Forrestala przyczyniła się do uchwalenia zaciągu wojskowego przez Kongres USA i do zatwierdzania miliardowych budżetów wojskowych").

W marcu r. 1948 pewne koła wojskowe wyrażały opinię, że wojna ze Związkiem Radzieckim już się zaczęła. 7 marca 1948 roku słuchany codziennie przez 20 milionów Amerykanów dziennikarz radiowy Walter Winchell informował swych słuchaczy, że „sytuacja dyplomatyczna jest desperacka". Tegoż dnia „Chicago Tribune", dziennik o milionowym nakładzie, doniosił z Waszyngtonu, że „wojskowi chcą, aby Prezydent użył bomby atomowej przeciw nieprzyjacielowi bez wypowiedzenia wojny".

Siedemnasty i osiemnasty marca były dniami szczytowymi. Siedemnastego w południe Prezydent Truman zjawił się na Kapitolu, aby zażądać od połączonych izb Kongresu natychmiastowego uchwalenia ustawy przywracającej powszechną służbę wojskową w Stanach Zjednoczonych. Truman oświadczył w atmosferze paniki i napięcia w całym kraju, że „powszechna służba wojskowa jest jedynym środkiem, przy pomocy którego aparat zbrojny USA potrafi stworzyć siłę niezbędną do sprostania katastrofie". Tego samego dnia po południu James Forrestal zapowiedział przed komisją wojskową Senatu, że „program obrony cywilnej włączony będzie ściśle do programu wojskowego", gdyż wymaga tego „możliwość pogotowia narodowego bądź katastrofy". Dalszy atut zagrany został nazajutrz przez następcę Forrestala na stanowisku ministra marynarki i jego bezpośredniego podwładnego — Johna Sullivana. Ten tylko, kto pamięta, że jedynym dotykalnym dla mieszkańców Ameryki świadectwem grozy ostatniej wojny były niemieckie łodzie podwodne u amerykańskich wybrzeży Atlantyku, potrafi ocenić diabelskość sceny na Kapitolu 18 marca. Minister marynarki Sullivan oświadczył mianowicie przy śmiertelnym milczeniu sali pełnej członków Kongresu i reporterów, że wywiad marynarki stwierdził u wybrzeży amerykańskich obecność kilku łodzi podwodnych, nie należących do „żadnego z krajów po tej stronie Żelaznej Kurtyny". W pół godziny potem dziesiątki milionów egzemplarzy prasy brukowej zakwitało tytułami: „Czerwone łodzie podwodne u wybrzeży Kalifornii".

Później, kiedy marcowa gra va banque nie powiodła się, tłumaczono, że wydarzenia marcowe miały rzekomą przyczynę w „mylnych raportach" wywiadu amerykańskiego w Europie. Jeśli nawet jakiś anonimowy gen. Cummings w Europie przyłożył ręki do przedstawienia „szalonego marca", nic nie działo się w Waszyngtonie w roku 1948 — z mowami Prezydenta włącznie — bez wiedzy i aprobaty Jamesa Forrestala, bankiera - „zbawcy świata" i ministra obrony USA w jednej osobie.

Fiasco szalonego marca, który usiłowano powtórzyć raz jeszcze w połowie czerwca 1948 roku, jest dowodem, że James Forrestal, i jako jednostka, i jako przedstawiciel określonej grupy, nie doceniał należycie pragnień pokojowych we własnym kraju, nie mówiąc już o ocenie wydarzeń poza Ameryką. Jego credo z magazynu „New York Timesa" okazało się — wciąż jeszcze — nie do zastosowania. Protest postępowej Ameryki i ludzi o zdrowych zmysłach przeciw nihilistycznemu kursowi Jamesa Forrestala i jego otoczenia okazał się głośniejszy niż spodziewali się. Protest rósł w miarę ujawniania się dalszych manewrów, których autorzy nie dbali o zachowanie żadnych pozorów, jak w wypadku wojny w Palestynie. Lewica amerykańska, pomimo klęski w listopadowych wyborach, walnie przyczyniła się do zakończenia kariery Jamesa Forrestala. Ujawniła bowiem istnienie w całym kraju klimatu politycznego, nie znoszącego kontynuacji personalnych rządów Forrestala i gen. Cummingsów. Przyszli historycy Ameryki XX wieku będą musieli zwrócić uwagę na fakt, że w wyborach 1948 roku lewica amerykańska, demaskując rządców Waszyngtonu i zmuszając walczącego o prezydenturę Trumana do wykradzenia znacznej części jej programu, oddała olbrzymią przysługę Ameryce i światu. Wagi tego nie zmniejsza fakt, że z programu wyborczego Trumana nic po pół roku nie zostało i że następcą bankiera Jamesa Forrestala jest fabrykant samolotów wojskowych, Edward Johnson. (Jeden z dziennikarzy asystujący w marcu przy intronizacji następcy Forrestala w Waszyngtonie — zanotował z niezwykłą wnikliwością: „były zapaśnik zajął miejsce byłego boksera"). W roku 1948 przy determinacji kół wojskowo - bankierskich i przy ich upojeniu mitem bomby atomowej oraz przy nastrojach paniki w USA rzeczą najważniejszą było uzyskanie marginesu czasu, gdyż — w świecie — czas pracował przeciw fanatykom atomowego „uporządkowania" tego świata.

Wybory listopadowe zakończyły też karierę Jamesa Forrestala, mimo że pozostał ministrem obrony przez następnych pięć miesięcy. Musiał odejść jako zewnętrzna bodaj koncesja na rzecz pragnień mas amerykańskich, kolidujących całkowicie z jego pragnieniami. Poza tym James Forrestal i jego otoczenie zignorowali obyczaje polityczne swego kraju. Wiąże się to ściśle z ich głębokim przeświadczeniem o swojej potędze i o misji rządzenia Ameryką i światem. James Forrestal wraz ze znaczną grupą wojskowych i bankierów zajął podczas listopadowych zapasów o władzę — stanowisko neutralne. Byli przekonani, że oni właśnie, cywilni generałowie - administratorzy są Ameryką, a nie miliony Smithów i Brownów. Rozumowali, że są nieodzownymi technikami, którzy muszą pozostać u steru niezależnie od wyniku wyborów, gdyż inaczej skomplikowany mechanizm Ameryki stanie.

Trzeciego listopada okazało się, że nie tylko Smithowie i Brownowie stanęli dęba, ale że w korytarzach Waszyngtonu czekał na urzędy i zaszczyty nowy garnitur businessmanów i polityków, którzy wykazali większą znajomość psychologii i obyczajów własnego narodu. Przed Pentagonem czekał niecierpliwie przemysłowiec, wiceminister armii z lat przedwojennych, którego legitymacją na urząd Jamesa Forrestala było zebranie na cele wyborcze demokratów półtora miliona dolarów.

Wszystko, co stało się po listopadzie 1948 roku, było epilogiem kariery Jamesa Forrestala. Teraz ujawniły się dalsze komplikacje planów „uporządkowania" świata, niewidoczne w okresie histerii wojennej lat 1947 — 48. Narzędzia, które James Forrestal doskonalił i przygotowywał przez lata po szesnaście godzin na dobę, zaczęły wypowiadać mu posłuszeństwo.

Sława Jamesa Forrestala w powojennym Waszyngtonie wyrosła, podobnie jak w czasie wojny, na jego administracyjno-technicznych umiejętnościach. Jego podstawowym zadaniem na pierwszym w historii USA stanowisku ministra obrony była unifikacja amerykańskiej machiny wojskowej, uczynienie z niej jednolitej aparatury — warunku niezbędnego do uprzedzenia planowanej przyszłej wojny totalnej. Zadanie to okazało się niemal niewykonalne wobec wewnętrznych konfliktów i walk toczonych przez poszczególne rodzaje broni o decydującą rolę w aparacie wojskowym Stanów Zjednoczonych. Animozje te i konflikty wywodzą się z dawnych czasów. Ale spotęgował je zarówno rozrost amerykańskiej machiny wojskowej w czasie wojny, jak przede wszystkim fakt niezwykłego dla czasów pokojowych wzrostu budżetu wojskowego USA. Za kulisami akcji unifikacyjnej toczyła się i toczy nie tylko walka poszczególnych rodzajów broni, ale poszczególnych grup przemysłowych, z których każda pretenduje do największej porcji miliardowych zamówień zbrojeniowych. Walk tych nie wyklucza wspólny front big businessu i kół wojskowych na zewnątrz. Wszelkie próby usunięcia tych konfliktów z widoku publicznego, przedsiębrane za rządów Jamesa Forrestala, spełzły na niczym. Najlepszym tego dowodem jest to, co dzieje się w Pentagonie obecnie, gdzie walki między lotnictwem a marynarką o bombowce bądź lotniskowce doprowadziły nie tylko do rezygnacji znanego nam z przedstawienia „szalonego marca" ministra marynarki Sullivana, ale do publicznego śledztwa Kongresu.

Nie owe spory i wewnętrzne walki zaważyły jednak na niepowodzeniu podstawowego zadania technicznego Jamesa Forrestala, warunku sine qua non wojny totalnej. Gdyby nie aktywność sił pokojowych w świecie, gdyby nie zwycięstwa sił ludowych w Chinach i powolny zmierzch mitu bomby atomowej w samej Ameryce, owe spory nie przekroczyłyby uprzednich form i rozmiarów. Mit blitzkriegu i szybkiej a skutecznej „wojny prewencyjnej" wygasać zaczął na Zachodzie równolegle z karierą Jamesa Forrestala. Analiza roli lotnictwa bombowego w ostatniej wojnie i wydarzenia w Chinach przyczyniły się do tego znacznie. James Forrestal w ciągu ostatnich trzech miesięcy swojej służby w roku 1949 zdążył jednak przedstawić swemu narodowi trzy projekty, które wytłumaczyć można tylko bądź w terminach jednego jeszcze paroksyzmu woli „opanowania świata", bądź w kategoriach szaleństwa. W styczniu r. 1949 James Forrestal zażądał od Kongresu pełnomocnictw upoważniających Prezydenta do wysyłania misji wojskowych do każdego kraju „na całej kuli ziemskiej". W lutym przedstawił temuż Kongresowi projekt budowy sieci radarowej wokół kontynentu północno-amerykańskiego dla wychwytywania nieprzyjacielskich bombowców „w razie ich ataku na Amerykę". Wreszcie na parę tygodni przed ujawnieniem się obłędu Jamesa Forrestala jeden z producentów sprzętu lotniczego w USA oświadczył, że za aprobatą ministra obrony prowadzi prace eksperymentalne nad budową pocisku — samolotu stratosferycznego, który krążyłby w permanencji wokół kuli ziemskiej. Jeden z sensacyjnych dzienników twierdził, że chodzi tu o „pojazd stratosferyczny" który mógłby zapanować nad całą kulą ziemską, „grożąc otwarciem ognia na każdy naród, nieposłuszny rozkazom twórców tego sztucznego satelity ziemi". Jeżeli gdziekolwiek maniakalne plany „panowania nad światem" przy użyciu aparatu radarowego, tablicy rozdzielczej i bomby atomowej osiągnęły szczytowy wyraz, to chyba w tym właśnie projekcie, który — jak głosiły prowadzące eksperymenty zakłady lotnicze — był projektem ulubionym przez Jamesa Forrestala.

Historia choroby umysłowej i zgonu Jamesa Forrestala jest znana i nie ma po co do niej wracać. Choroba ujawniła się w dwa dni po jego dymisji. Równie nieistotna jest więc — post factum — diagnoza jego choroby czy roztrząsanie domysłów, kiedy się zaczęła. Są to bowiem wszystko elementy jego dramatu osobistego. „Forrestal — pisał jeden z publicystów amerykańskich — znalazł się z własnego wyboru przed alternatywą wojny bądź samounicestwienia". Skoro pierwsze okazało się niemożliwe, pozostało jedynie drugie. Świat jednak obchodzi tylko problem uniemożliwienia manewrów nowych Forrestalów. I tutaj dalsze, częściowe wytłumaczenie klęski życiowej Jamesa Forrestala — wszelkie tłumaczenia są skomplikowane i zawiłe — znaleźć można w artykule, który niezwykłym zbiegiem okoliczności ukazał się w dniu samobójstwa ministra obrony USA w tym samym dzienniku, w którym rok przedtem Forrestal — u szczytu kariery — wykładał swe faszystowskie teorie polityczne. Artykuł ten — w „New York Timesie" — jest znacznie lepszą od fragmentu z Sofoklesa, bo współczesną, winietą nagrobną dla bankiera — „zbawcy świata". Zatytułowany był „Bomba atomowa" i dowodził tezy, że „bomba atomowa i długodystansowe bombowce nie są ani strategicznym ani politycznym panaceum na wszystkie kłopoty świata". Zbieżność zgonu Jamesa Forrestala z artykułem w „New York Timesie" była tylko zewnętrznie przypadkiem. W istocie oba fakty zamykały krótką ale niezwykłą epokę, którą możnaby nazwać epoką Hiroszimy. W przeddzień obu wydarzeń przedstawiciele Stanów Zjednoczonych opuścili Waszyngton w drodze na pierwsze po dwuletniej przerwie spotkanie ministrów Wielkiej Czwórki w Paryżu.

Mieczysław Wionczek

EDWARD CSATÓ

ARGUMENTY W DYSKUSJI TEATRALNEJ

W naszym życiu teatralnym zdają się nadal istnieć jak gdyby dwie perspektywy i w każdej z nich inny nieco kształt przybierają poszczególne sprawy dramatopisarstwa i sceny.

Sumując wyniki oborskiej konferencji, m.in. Sokorski stwierdził: „Jeżeli chodzi o ludzi teatru, to raczej jeszcze czujemy wśród nich pewien niepokój z powodu tak wyraźnego i jasnego postawienia problemu współczesnej twórczości dramatycznej jako czołowego zagadnienia dzisiejszego teatru. Sądzę, że ta konferencja w poważnym stopniu przełamie tę nieufność, ale dzisiaj ten ton niepokoju przebijał tu bardzo silnie".

Poruszony został problem w zasadzie dawno już chyba rozstrzygnięty, a jednak wciąż odżywający w najrozmaitszych postaciach. Co jest w teatrze ważniejsze: literatura czy sztuka sceniczna. Czy w pracy artysty teatralnego widzimy jedynie rzemieślnicze realizowanie kształtu wyimaginowanego przez literata, czy też przeciwnie, winniśmy uznać teatr za dziedzinę samoistnej, „autonomicznej" twórczości posługującej się tekstem utworu dramatycznego jako surowym materiałem.

W Oborach słyszeliśmy głosy literatów, zwalczające niebezpieczne dążenie do autonomii teatru, dowodzące, że tylko przy odnowieniu literatury stworzyć możemy nowy teatr; polemizowali z tym stanowiskiem praktycy sceny, którzy drogę teatru do realizmu widzieli w odnowieniu panujących dziś za rampą konwencji artystycznych, konwencji nie uporządkowanych i zaśmieconych przez spadek po późnym mieszczaństwie. Teatr nowych, socjalistycznych konwencji będzie warsztatem, który pozwoli na odpowiedni rozwój sztuki dramatopisarskiej. Taka była ich argumentacja.

W niektórych momentach owej dyskusji następowała w Oborach jak gdyby paradoksalna zamiana ról. Oto ludzie głoszący prymat sceny nad autorem dramatycznym — równocześnie bardziej niż literaci zaczęli troszczyć się o poziom tekstów, które przecież stanowić mają jedynie scenariusz autonomicznego dzieła teatralnego. A znowuż literaci, tak przekonani, że o rozwoju sztuki teatralnej decyduje twórczość dramatyczna i że wartość przedstawienia zależna jest przede wszystkim od ich tekstów, chętnie kierowali pod adresem wykonawców utworów zarzuty, że tu i ówdzie nie potrafili oni stworzyć odpowiednio sugestywnej wizji teatralnej. Jeden z oborskich dyskutantów powiedział o autonomii teatru: „jest to stanowisko, które w konsekwencji uważa dzieło literackie, tekst utworu za coś takiego, co można wykrzywić, łamać kości i wszystkie członki, bo to służy samoistnej i samodzielnej sztuce teatralnej; takie stanowisko prowadzi m. in. do formalizmu w teatrze". Ten sam literat w tym samym przemówieniu miał jednak za złe inscenizatorom jego sztuki, że ustosunkowali się do niej zbyt niewolniczo, że „wykonali ją w sposób niesłychanie dokładny, ściśle co do litery, nie przeprowadzając, w szczególności jeśli chodzi o realizację, ani nie proponując autorowi żadnych zmian".

Możnaby w podobne spory uwikłać i innych twórców przedstawienia teatralnego: pokłócić aktora z reżyserem (to już było), reżysera ze scenografem — który z nich ważniejszy. Ale po co? Od dawna zainteresowane strony zgodziły się, że teatr jest istotnie dziedziną twórczości autonomicznej, to znaczy: innej niż twórczość literacka, malarska, muzyczna, posiadającej odrębne reguły artystyczne i w specyficzny sposób działającej na odbiorcę. To, że dramat może być dziełem sztuki literackiej, nie przeszkadza mu wcale stać się materiałem i niezbędnym elementem dzieła sztuki innego typu; potraktowanie zaś utworu literackiego jako scenariusza nie może wcale zmniejszać szacunku, jaki inscenizator winien jest opracowywanemu przez siebie dramatowi.

Może należałoby powiedzieć wyraźnie: uważamy, że sam teatr — właśnie jako samoistna dziedzina sztuki — ma bezpośrednio służyć współczesności, wyrażać konflikty najbardziej charakterystyczne dla naszej epoki, ukazywać ludzi kształtowanych przez nowe warunki socjalistycznej produkcji, zgłębiać prawdę o świecie minionym i obecnym. Nie żądamy od aktora, aby grał w sztuce Kruczkowskiego, ponieważ Kruczkowski przedstawia nowego człowieka; to właśnie sam aktor ma przedstawić nowego człowieka po przez swą sztukę, swoją znajomość naszego świata i jego problemów, po przez swe przywiązanie do sprawy ulepszenia ludzkiego bytu w lepszym ustroju.

Nie jest również prawdą, że obowiązkiem reżysera jest inscenizować na scenie sztukę Ważyka, ponieważ Ważyk interesuje się aktualnymi problemami scenicznymi; sądzimy raczej, że pragnieniem każdego reżysera powinno być, aby mógł prezentować na scenie sprawy, które go — tak jak nas wszystkich — niepokoją i pasjonują. To jest jedyny sposób na to, aby działalność artystyczna w teatrze stała się naprawdę samoistną twórczością artystyczną. Każda inna „autonomia" będzie zawsze pozorem, niewolą formy. Gdy współczesny aktor i reżyser w ten właśnie sposób ujmą ten problem, zrozumieją, że nie żaden zewnętrzny nacisk, ale głęboka wewnętrzna konieczność skłania ich, aby sięgali do utworów, które dają im najlepszy materiał. Wówczas nie trzeba będzie biedzić się hierarchią poszczególnych elementów repertuaru, gdyż hierarchia ta stworzy się sama, w oparciu o te materiały dramatyczne, które z natury swej będą najbliższe dzisiejszej publiczności.

Także błędy owego materiału nabiorą wówczas innego znaczenia. Staną się czymś, co przeszkadza, ale z czym można walczyć; niebezpieczeństwem zrozumiałym i dającym się w pewnym stopniu przezwyciężyć; będą denerwować i niepokoić, ale interesować równocześnie. Przegrane — staną się etapami późniejszych zwycięstw. Minie to, co jest chyba najgorsze w stosunku znacznej jeszcze części dzisiejszego teatru do tworzącej się socjalistycznej literatury: obojętność, która wyraża się w tu i ówdzie formułowanych postulatach — najpierw piszcie lepiej, dopiero wówczas zaczniemy was grać.

Mógłby ktoś mniemać, że w takim obojętnym sformułowaniu zawiera się jakaś racja, wprawdzie niechętna przemianom i zimna, lecz jednak racja; ale nawet takie ujęcie zagadnienia byłoby niesłuszne. Gdy dzieła naszych współczesnych dramatopisarzy zestawimy z utworami Szekspira, porównanie wypadnie oczywiście na niekorzyść tych pierwszych. Inaczej jednak rzecz się przedstawi, gdy wypiszemy obok siebie np. repertuar postulowany na rok najbliższy i repertuar jakiegokolwiek sezonu z tzw. okresu międzywojennego. Okaże się wówczas, po pierwsze, że ilość utworów klasycznych znacznie wzrosła w porównaniu z ich liczbą w tamtym okresie, po drugie zaś, że w dziedzinie repertuaru współczesnego wystawiamy sztuki znacznie bardziej wartościowe od tych, jakie grały teatry przedwojenne.

Gdybyśmy z kolei spróbowali zestawić to zjawisko ze zreferowanymi wyżej obawami niektórych ludzi teatru, musielibyśmy dojść do wniosku, że ich kryteria oceny uległy jakiemuś niesłychanemu zaostrzeniu. Wydaje się, że tylko w nielicznych stosunkowo wypadkach można ową surowość wymagań uznać za zjawisko pozytywne, gdyż tylko u niewielu ludzi teatru jest to szczere zamiłowanie do przebywania na szczytach literatury. Znacznie częściej taka pozorna bezkompromisowość jest po prostu świadectwem nieprzezwyciężonego nacisku bardzo niedobrych upodobań minionego okresu mieszczańskiego. Można zrozumieć opory wobec wad współczesnych sztuk u reżysera, który dotychczas obracał się wyłącznie w kręgu Słowackiego, Szekspira, Moliera, Czechowa, jak jednak wytłumaczyć lekceważący stosunek do współczesnej sztuki u aktora, który nie tak dawno jeszcze czuł się jak ryba w wodzie w szmirowatych komediach seryjnej produkcji francusko - węgiersko - niemieckiej?

Edward Csató

STANISŁAW JERZY LEC

* * *

Znam ciepło wszystkich ludów i we wszystkich mowach
gałąź pachnących liści dla człowieka zerwę.
W krwi żadnej łzy nie wyschły a w łzie każdej czerwień,
którą życie w nas puka jak żyła źródłowa.

Przed żadną mową jeszcze ucha nie zamknąłem,
w każdej słyszę pęd trawy i zdziwienie dzieci,
w każdej widzę jak w drzewie rysunek stuleci
co z jej pnia się rozchodzi coraz szerszym kołem.

Poznam i znienawidzę w każdej z mów — kamratów,
co chcą w swoim języku rzec zniszczenia słowo
i niebo skroplić w bomby, w burzę atomową,
nad tym tu najpiękniejszym z wszystkich żywych światów.

O PIOSENCE LUDOWEJ

Piosenki ludu chodziły boso,
ciągnął je koń,
ścinało je się sierpem i kosą,
dłoń je sypała w dłoń.

Dlatego była w nich czasem żałość,
aż chwiała głos,
jakby zadrżała drzewa gałąź
gdy spadnie cios.

I aż milczało w tych pieśniach czasem
od wściekłych cisz
i dąb przeciągał pod nutą basem
i szeptem cis.

Jakże podobne są sobie wszędzie
jak ludzki pot,
każda przez serce jak życie pędzi —
i do i od.

A w ustach ludu tyle wesela,
pełnia i nów
i w śmierć zapada i w pieśń wystrzela
znów.

* * *

Czyje oczy będziesz miała epoko?
Kto cię nazwie swoim imieniem?
Czy ten co cię wetchnął głęboko,
czy ten co cię skrwawił milczeniem?

Czy palcem zegara wskażesz
nieznanego nikomu żołnierza,
co pod czarnym niebem pożarzysk
bez imienia żadnego leżał?

Czy to ten spod modrego kitla
co lutuje ostatnie sprzęgło?
Czy ten co niebo utytlał
chmurką wapna i dźwięczną cegłą?

Oczy nasze — dnia panoramą,
zbyt wielu zaciemnia ją wierszem.
Najsilniejsi przez sen krzyczą: Mamo!,
bo mają odważne serce.

Kto z nas to jedynie słowik?
Kto będzie mową codzienną?
Ten, co jak człowiek człowiekowi
powie: Patrz, już nie ciemno.

CZŁOWIEKOWI O OCZACH ŁAMISTRAJKA

Robotnikom francuskim

Gdy oni ręce złożą staje czas,
i woda tryskać przestaje ze źródeł,
nie rośnie światło, nie oddycha gaz,
ziemia zaskiepia ciepłodajną rudę.

Gdy oni ręce złożą wstaje strach,
wyciąga język z rotacyjnych maszyn
i sierścią luf porasta każdy gmach
na oddech pieśni o sztandarze naszym.

Gdy oni ręce złożą wstaje pieśń
ze słabych piersi odechem tak silnym.
że nią oddycha aż podmiejska wieś,
ojciec powtarza ją za swoim synem.

Ich krew poznała już kolczasty drut,
z nich każdy śnił jak pachnie chleba pajda
lecz wie jak syci wielki, wspólny głód,
człowieku o spojrzeniu łamistrajka!

Gdy oni ręce złożą jesteś sam jak szczur,
biegniesz zygzakiem przez różowy ranek,
lecz wokół siebie czujesz ciasny sznur
oddechów z sobą skonfederowanych.

Uwierz i ty w ten doświadczalny cud:
jakąby mową nie ożyły usta,
jedno jest słowo niewytarte — lud —
Gdyby ten ręce złożył, świat by ustał.

HILMAR WULFF

Dla Marcina Andersena Nexö

Józef Jaworski nie umiał ani czytać ani pisać, kiedy przyjechał na Lolland. Umiał za to ciężko pracować, i po to właśnie tu przyjechał. Przyjechał na tę tłustą wyspę cukru razem z garścią dziewcząt galicyjskich, i wszyscy razem mieli pod nadzorem niemieckiego aufzejera pracować na buraczanych polach wielkiego majątku. I tak samo jak jego rodacy, Józef Jaworski myślał, że się wzbogaci w tym obcym kraju trudem swoich spracowanych rąk.

Tęgo więc zabrał się do roboty na wielkich polach obszarnika. Od wczesnej wiosny deptały jego bose nogi osty i kamienie na gliniastych równinach. Słońce mając na karku (a oczy aufzejera na pochylonych plecach, trzymając w spoconych dłoniach krótkie trójkątne rękojeści, szedł naprzód, pionier nowego przemysłu na cudzej ziemi. I chodził tak wciąż jeszcze, kiedy nadeszła jesień smagająca deszczem i gryząca zimnym wiatrem. Podczas gwałtownej kampanii buraczanej wykopywał buraki dwuzębnymi widłami i odrąbywał nać krótkim siekaczem.

Ale wreszcie pewnego jasnego i mroźnego dnia pomiędzy zaduszkami a Bożym Narodzeniem skończyła się robota. Minęło całe lato na cudzym zagonie. Jaśnie pan, który kupował jego dni, był zadowolony. Przez całe lato Polacy mieszkali w cielętniku, teraz cielęta miały tam powrócić a Polacy się wynieść. Mogli już sobie wracać do ciężkiej galicyjskiej zimy i do cesarsko-królewskich żandarmów. Mogli już sobie wracać do ojczyzny i cieszyć się, cieszyć się, i być dobrej myśli, gdyż jaśnie pan pozwolił im powrócić na następną wiosnę i znowu pleć i redlić jego bogate pola.

Józef Jaworski stał w drzwiach polskich koszar i patrzył, jak jego krajanie wyruszali w powrotną drogę. Mimo wszystko nie wzbogacili się. Co prawda, jedli codzień do syta, starczyło jeszcze dla nich rozcieńczonego mleka i kartofli w tym kraju, a w niedzielę po kościele, kiedy ksiądz zebrał na tackę słuszną część ich krwawo zapracowanych groszy i w nagrodę obiecał im szczęśliwe życie po śmierci, nawet czasami obżerali się czerstwą bułką i suchymi kiełbaskami po trzynaście örów sztuka — polskimi kiełbaskami, jak je zaczynali już nazywać mieszkańcy wyspy Lolland. No, parę groszy może tam i oszczędzili, aby mieć co jeść za nie w ciągu długiej zimy. Ale te oszczędności nie mogły być duże i musiały wystarczyć aż do czasu, kiedy właściciel ziemski otrzymał swoją rentę z fabryki a akcjonariusze zaczęli wyciągać szyje, jak psy za wozem rzeźnika.

Józef Jaworski także miał oszczędności. Zaoszczędził coś niecoś, bo się buntował przeciw księdzu i tacce a pracował jak katorżnik. A czynił to dlatego, że był od urodzenia niezależnym człowiekiem i chciał się wyzwolić ostatecznie. Tam, na podgórzu Tatr było takie jedno miejsce, gdzie siana starczyłoby na utrzymanie paru krów w zimie i gdzie nie potrzebowałby pracować na właściciela wioski, w której się urodził. Niemiecki aufzejer wyjechał z dużymi pieniędzmi do tego wielkiego kraju za morzem, które od wieków poiła wieczna Wisła. Ale nawet niezwykła oszczędność ani zapracowywanie się do śmierci nie pomogły Jaworskiemu powrócić do domu i urzeczywistnić snów o niezależności. I tak samo zapewne musiałby najbliższej zimy wydać wszystkie swoje zaoszczędzone pieniądze. Ale dziedzic zauważył pilnego Józefa. Pozwolił mu pozostać w czworakach przez całą zimę, i nawet karmił go, i dawał mu od czasu do czasu parę groszy za pracę w oborze.

Dlatego to Józef Jaworski zostawał, kiedy jego krajanie odjeżdżali. I mógł ich spotkać najbliższej wiosny, kiedy znów powrócili pełni nadziei, że się zbogacą pracą własnych rąk, jak wtedy, kiedy z nimi razem przybył.

Powtórzyło się to przez parę lat, ale Józef nie stał się bogaczem. Mimo, że skąpił poczciwemu księdzu darów na tackę, mimo że często odmawiał sobie uczty niedzielnej z czerstwych bułek i polskich kiełbasek, wciąż równie daleko był od koszenia własnej trawy u podnóża Tatr.

*

Chociaż Józef Jaworski uprawiał ziemię wyspy Lolland ku wielkiemu zadowoleniu właściciela i akcjonariuszy prawie przez dwadzieścia lat i przez tyleż lat odkładał realizację swoich młodzieńczych marzeń, był tylko jednym z pionierów, którzy zbudowali duński przemysł cukrowniczy i sami pomału stali się Duńczykami, zachowując na zawsze wspomnienie o Polsce w swoim sercu. Wreszcie jednak coś sobie wypracował. Chociaż bez widoku na śnieżne szczyty gór, jednak to co posiadł było domem. Jeden z tysiąca słomą krytych domków robotniczych, który przez długie lata tulił całe generacje pracowników, stał się jego własnością. Leżał on na pustych polach na końcu majątku. Pół morgi ziemi, które należało do domku, nie mogło wykarmić nawet jednej krowy, ale jakoś tam żył Józef na swojej „posiadłości". I był to jak gdyby odblask jego nigdy nie spełnionych snów młodości. Mimo iż został wreszcie pomocnikiem głównego żywiciela krów i karmił doba w dobę do stu sztuk bydła, codziennie jednak serce jego napełniało się dumą, kiedy powracał do swojego domu.

Ponieważ Józef zawsze myślał więcej o życiu niż o śmierci, i więcej o swej własnej korzyści niż o korzyści księdza, przestał zupełnie dawać na tackę od chwili, kiedy ożenił się z duńską dziewczyną. Ona to sprawiła, że Józef prawie nigdy już nie mówił we własnym języku i że dzieci ich chodziły do duńskiej szkoły i nosiły duńskie imiona.

Przez wiele lat duńscy chłopi żenili się z polskimi dziewczętami. Ta sprawa była uważana przez lollandczyków za wielkie szczęście dla tych dziewcząt, a wcale nie była brana za złe Duńczykom. Ale duńska dziewczyna wychodząca za mąż za Polaka, to była zupełnie inna sprawa! Raczej uważano to za wstyd, niż honor dla niej, ale ostatecznie nikt się tak bardzo nie dziwił postępkowi Birty. Można było czegoś takiego spodziewać się po dziewczynie, której ojciec był socjalistą i otwarcie zadarł i z dziedzicem i z władzą.

Józefowi Jaworskiemu dano żyć spokojnie ze swoimi. Coprawda wołano na jego dzieci „polskie smrody", a jego żona nie cieszyła się mirem ani u Polaków ani u lollandczyków, bo nie była ani tym ani tym. Jako córkę jedynego socjalisty na trzy parafie i w dodatku wydaną za Polaka, uważano ją raczej za chwast niż za kwiatek.

*

Pewnego letniego dnia w 1944 roku, szedł sobie młody lollandczyk pomiędzy potężnymi polami cukrowych buraków. Pola leżały naokół w nieskończonym swoim bogactwie. Patrzał na setki zgiętych pleców, które jak za dni jego dzieciństwa przygotowywały przyszłe żniwa cukrowe. Myślał o pracy pionierskiej tysiąca Polaków w tym kraju. Jakże oni rozmnożyli to bogactwo przez te lata! Wielu z nich zostało na Lolland; stali się Duńczykami, powoli wywalczyli sobie ludzkie warunki i zdobyli szacunek, ale gdzież są inni, ci co zbudowali ten przemysł? Ci co jeszcze żyją, są teraz w Polsce. Ale w Polsce w tych latach straszna panuje zaraza, sto razy jest tam ciężej niż tutaj na Lolland, gdzie także nie wszystko w porządku. Młody człowiek wspomina wrażenia dzisiejszego dnia i szybko mija zabudowania cukrowni, żeby zdążyć na najbliższy pociąg do cukrowego miasteczka.

Na placu stoi oddział niemieckich żołnierzy. Młodzieniec szybko przechodzi obok nich i skręca w najbliższą wąską ulicę. Staje przed starym domem i patrzy na numer.

Na poddaszu puka do drzwi. Otwiera mu inny młody człowiek. W tym pokoju mieszka silny chłopak z doków okrętowych, ma on w spojrzeniu swoim uświadomienie robotnika przemysłowego i patrzy przenikliwie na przybyłego, podając mu krzesło. Rozmawiają chwilę i gość wydostaje z kieszeni mały nadarwany kawałek papieru i kładzie go na stole. Robotnik portowy wyciąga inny kawałek papieru z szuflady i próbuje, czy dwa kawałki papieru pasują do siebie. Pasują dokładnie.

Wtedy zaczynają mówić dłużej, cicho i poufnie. A kiedy porozumieli się i kiedy mogą już być pewni siebie nawzajem, jako żołnierze wspólnego tajemnego wojska, które zwalcza wielką zarazę, jest tak, jak gdyby znali się od dawna.

Wreszcie gość powstaje, aby odejść. Jak zwykle kiedy widzi półkę z książkami, zbliża się, aby zobaczyć, jakie dzieła stoją nad łóżkiem młodego robotnika.

— Nie wiele tego — powiada właściciel — ale wszystkie dobre!

— Dobre! To prawda. Tacy ludzie, jak ty i ja, im zawdzięczamy, że wiemy dziś, po co żyjemy!

Przybyły wyciąga grubą, spracowaną książkę z półki. Na grzbiecie czyta napis: „Pelle Zdobywca".

— Tak, tę książkę czytałem wiele razy — powiada młody robotnik. — Zresztą dostałem ją w podarku w dzień konfirmacji od ojca mojej matki. Był ubogi jak mysz kościelna, ale był jedynym socjalistą w okolicy".

Przybyły otwiera książkę na chybi trafi i widzi wyblakły napis: „Właściciel książki: Pelle Jaworski".

Z duńskiego tłumaczył ji

Nagroda plastyczna m. stoł. Warszawy

TADEUSZ KULISIEWICZ
grafik i rysownik, profesor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, autor znakomitych cyklów drzeworytniczych „Szlembark", „Bacówka", „Metody", „Wieś w Gorcach", wystawianych przed wojną w IPS-ie, oraz cyklu rysunków „Warszawa 1945", znanych z ekspozycji w Muzeum Narodowym (1947 r.) i wydanej przez „Czytelnika" teki — otrzymał w dniu 22 lipca nagrodę plastyczną miasta Warszawy za rok 1949.

ALEKSY FIEDOROW

POCZĄTEK

ZOSTAŁO nas zaledwie siedmiu. Nie wygłaszaliśmy żadnych przysiąg, nie nazywaliśmy się partyzantami *), lecz mocno trzymaliśmy się razem.

Tak w siedmiu wędrowaliśmy z pięć albo sześć dni po lasach czernuskiego rejonu w obwodzie połtawskim. Głodowaliśmy. Żywiliśmy się jagodami i korzeniami, a raz się nam poszczęściło: pasterze przynieśli nam garnek gotowanych kartofli i pół bochenka chleba. To była prawdziwa uczta. Lecz nie nasyciliśmy się, wyostrzyliśmy tylko apetyt.

*

Gdy się ściemniło, postanowiliśmy wejść do wsi. Szeroka błotnista ulica. Domy daleko od siebie; oddzielają je sady. Jest dopiero wieczór, ale nigdzie ani żywej duszy. Przygniatająca, wstrętna cisza strachu. Oczywiście, w chatach są ludzie. Zwykle, jeśli ci się zechce przejść wieczorem wiejską ulicą, psy zaszczekają ze wszystkich stron i będą się rzucać pod nogi. A tu idzie nas siedmiu i znikąd ani dźwięku.

Idziemy w ten sposób: ja na przedzie, za mną lejtnant i pozostała piątka gęsiego, w odstępach dwu kroków. Możliwe, że należałoby się nieco bardziej rozproszyć, lecz każdy chce słyszeć oddech poprzednika.

Nogi mnie po dawnemu bolą nieznośnie. Opieram się na kiju. Skórzane palto ciąży, gorąco w nim. Któż we wrześniu chodzi w płaszczu podbitym futrem? Lecz przed nami zima, nie będzie skąd wziąć.

Idziemy w milczeniu. Ja prowadzę — a dokąd? „Żeby choć spotkać babę czy starca" — myślę sobie i ledwie pomyślałem, widzę na ganku chaty ludzką sylwetkę. Człowiek stoi nieruchomo.

Już otworzyłem usta, aby go zawołać, gdy on się obraca, i teraz na tle jasnego pnia topoli widać zarys automatu uwieszonego na brzuchu i kask.

Niemiec!

Był to pierwszy żywy Niemiec, którego ujrzałem z tak bliska.

Nie zdając sobie sprawy, co robię, prawdopodobnie ze strachu, wyrwałem z kieszeni pistolet i strzeliłem do niego.. Nie wiem, czy go zabiłem, czy nie. Schyliłem się i rzuciłem w bok, za chatę, w stronę ogrodów. Krzyknąłem chłopcom:

— Niemcy!

I w tej samej sekundzie zaczęła się strzelanina, zaterkotał automat, potem drugi i trzeci, wyleciała rakieta świetlna. Pędziłem co sił przez ogrodowe kępy, potykałem się, padałem, podnosiłem się i znów biegłem. Jakaś deska trzasnęła pod nogami i wpadłem do dołu. Wydostałem się jakoś i biegnę dalej. Płot, i to wysoki, z żerdziami. Przesadziłem go z rozpędu; spodnie zahaczyły się o żerdź i rozdarły prawie na dwoje.

— Halt!

Oddałem w stronę „halta" dwa strzały i sunę dalej, zboczem do rzeczki... Tu znowu rakiety i kule. Kolano mnie czemuś strasznie zabolało. Myślę: „zranili, draniе", ale biec mogę. I z całego rozpędu — buch do rzeki.

Znalazła się na mojej drodze całkiem nieoczekiwanie. Przeszliśmy ją w dzień; okazuje się, że tu robi zakręt. Płynę do przeciwnego brzegu. Moje palto wydęło się na powierzchni, czapkę mi zerwało i uniosło.

— Halt, halt, halt! — dolatywało teraz z lewej i prawej strony.

Dwaj fryce spostrzegli mnie i kropią z automatów po rzece. A w dodatku te przeklęte rakiety. Jak poleci — ja z głową pod wodę. Ale czy długo usiedzisz pod wodą? Rakieta wisi dłużej... Rzeka ta, zwana Mnogo, nie jest bardzo szeroka, ale dosyć głęboka. Płynąć w płaszczu i butach bardzo ciężko. Zbliżywszy się do przeciwnego brzegu nie wylazłem, lecz poszedłem wodą, w cieniu krzaków. Głowę trzymam nad samą powierzchnią rzeki. Jeden but sam zszedł: utkwił w gliniastym dnie. Drugi zrzuciłem. Chciałem zrzucić również płaszcz, lecz błysnęła mi dobra myśl: wetknąłem kij w glinę (miałem go jeszcze wciąż w ręku, po prostu zapomniałem go rzucić) i powiesiłem na nim płaszcz; mapnik z papierami wepchnąłem w błoto i dla pewności jeszcze przydeptałem nogą. A sam na czworakach, na czworakach, na brzuchu — w krzaki.

Trudno mi było pełzać na brzuchu. Od razu zaczęły mi dokuczać łokcie. Kolano nadal bolało nieznośnie... Dotknąłem: nie ma krwi. Więc nie jestem ranny.

Usiadłem pod krzakiem, podwinąłem nogi, dyszę. A strzelanina idzie do mojego płaszcza. Co rakieta wzleci, to go dziurawią. Po minucie spadł do rzeki i popłynął.

Siedzę pod krzakiem, i dacie wiarę, roześmiałem się. Wyobraziłem sobie, jak wyglądam: gruby człowiek z orderem na bluzie, bez butów, bez płaszcza i czapki, cały mokry i skurczony we dwoje. „No, no, myślę sobie, sprawuj tu kierownictwo pod krzakiem...".

Kiedy strzały ucichły, wydostałem się spod krzaka i prędko poszedłem polem. Lecz okazało się, że to wcale nie pole, tylko ścięte sitowie. Można było pożałować swoich butów! Owijacze i skarpetki już po stu krokach zdarły się na nic i czuję, że nogi są pocięte i pokłute. Ale co robić? Idę. Ile przeszedłem — kilometr czy dwa? Widzę zarysy jakichś chatynek, a trochę na lewo — kopa pszenicy. Ja do niej. Obok kopy dodatek — mała kopka. Urządziłem się między nimi. Ściągnąłem na siebie słomę, jakoś się schowałem, choć nogi mi na pewno sterczały. Natychmiast zasnąłem, można powiedzieć, padłem bez pamięci.

Zbudziłem się dopiero po czterech godzinach. Zwinąłem się w kłębek, jak w dzieciństwie, kiedy się nie chce wstawać. Leżę, drżę z zimna, w jednej ręce ściskam pistolet, drugą wyciągam drzazgi z nóg. W kieszeniach miałem zapasowe naboje. Nabiłem na nowo pistolet. I wciąż leżę, nie decyduję się nawet wyjrzeć zza snopa. No i oczywiście myślę — wspominam, jak wiałem przed Niemcami. Tak, zawsze potępiałem tchórzostwo...

Długo robiłem sobie wyrzuty, a potem zacząłem rozmyślać, co czynić dalej.

O paręset kroków ode mnie są chaty, a w chatach kołchoźnicy. Jak też oni zareagują na moje ukazanie się?

Jestem człowiekiem z mas, człowiekiem dla ludzi. Nigdy nie znałem samotności, nie szukałem jej i nie potrzebowałem. Mówię o tym z tej racji, że ukrywać się w pojedynkę po to tylko, aby zachować życie, nie mogłem. Sama myśl o tym była dla mnie nieznośna.

Ale w owej chwili, wyznaję, straciłem głowę. A do tego jeszcze słabość fizyczna, nogi spuchły, krwawią... brak pewności siebie.

Zapiał kogut. „Aha, myślę, rano się robi". Wtem obok coś zaszeleściło, poruszyło się i snop, którym byłem przykryty, drgnął i spadł.

Klęczę; wpiłem się w pistolet, trzymam go przed sobą... Już się rozwidnia i nikogo nie ma. Tylko kury: kokoko. A to paskudztwo, żeby tak nastraszyć!

*

W ciągu całej wojny nie byłem tak bliski zguby, jak w te dni. Zewnętrznie wyglądałem tak, że mogłem budzić litość i śmiech. Mówię o tym nie wstydząc się i sądzę, że każdy, kto jak ja stawiał pierwsze kroki na wojnie, przyzna w duchu, że i on przechodził moment upadku fizycznego.

Lecz wracajmy do tego, co się ze mną działo. Powtarzam: nigdy nie byłem tak bliski zguby. Poddałem się zmęczeniu. Pomyśleć tylko, spałem prawie cztery godziny w tej kopie pszenicy, można mnie było pojmać we śnie. A w kieszeniach bluzy miałem takie dokumenty: legitymacja partyjna, dowód sekretarza komitetu obwodowego, dowód członka KC KP(b) Ukrainy, książeczka orderów, legitymacja posła do Rady Najwyższej ZSRR i USRR.

I tak, o świcie, kiedy mnie zaniepokoiły kury, w pobliżu nie było żywego człowieka.

Wstałem i właśnie zamierzałem dać krok naprzód, gdy zaczął się obstrzał pola z miotacza min; zupełnie niedaleko, o trzysta metrów, zaczęła się także strzelanina z automatów. Kto i z kim się bił — nie wiem. Lecz przywykłem już strzec się wszystkiego. Zresztą głupio byłoby z moim nędznym pistoletem wdawać się w tę bitkę.

Położyłem się znowu, zakopałem się w stercie. A kury zabrały się do roboty na dobre, kokoszyły się koło mnie, gdakały, koguty piały dumnie i beztrosko. Czułem już do nich nienawiść. Znałem niemiecką namiętność do „kurek" i „jajeczek". Przyjdą, zaczną polować na białe mięso i natkną się na mnie.

Strasznie mi się zachciało zapalić. Lecz tak przemarzłem, że nie mogłem się poruszyć... Co prawda papierosy zamokły i zapałki także.

Strzelanina wkrótce ustała. Usłyszałem czyjeś człapiące kroki i kaszel, zdecydowanie starczy. Nikt nie rozmawiał, więc staruszka zjawiła się w mojej strefie bez towarzyszy.

Zaczęła wołać kury, coś szeptała, mruczała.

Wyciągnąłem zdrętwiałe nogi, obróciłem się stanowczo, odrzuciłem słomę i zerwałem się.

— Nie waż się, nie waż, nie waż! — krzyknęła staruszka i zamachała rękami.

Strach było z pewnością zobaczyć takiego wujka — bosy, nieogolony, mokry, z plewami w głowie.

Przeżegnała się i skamieniała. Ja także z pół minuty milczałem, przywykałem do światła: ranek wstał słoneczny.

— Słuchaj, babciu — powiedziałem tak spokojnie, jak tylko mogłem — nie bój się. Ja nie gryzę. Niemcy daleko?

— Tak ni, tam wieś. Ony we wsi zwierzęta i chleb grabują.

— A u ciebie, stara, nie ma czego przekąsić? Może kawałek chleba? Albo dzbanek mleka?

Rozmawiając z nią, rozglądałem się naokoło; to, co w ciemności uważałem za chaty, to były budki dla kur. Tutaj kołchoz wywoził ptactwo dla walki ze szkodnikami i zbudował dosyć obszerne kurniki. Starucha była widać ptasznicą.

— No to jak, babciu, znajdzie się co przekąsić dla rosyjskiego żołnierza?

— Niczeho nemaje, miły. Jakże to można tak ludzi straszyć?

— W tym lesie też Niemcy? — wskazałem na brzeg lasu, który się zaczynał o czterysta metrów od mojej sterty.

— Wszędzie Niemcy, wszędzie — powiedziała.

Zza kurnika ukazał się jeszcze jeden człowiek. Starzec. Zgrzybiały, z długą zielonkawą brodą. Wokoło szyi miał zawiązany kaptur.

— Chłopak, dziadku — powiedziała starucha. — Prosi o jedzenie.

Starzec spojrzał na mnie spode łba, nic nie powiedział i zaczął rozwiązywać kaptur — długo go rozwiązywał. Potem wydobył dużą pajdę chleba, kawałek słoniny i również w milczeniu podał mi, a sam usiadł na ziemi. Póki zmiatałem, starcy nie odrywali ode mnie wzroku.

— Słuchaj, chłopaku — przerwał wreszcie milczenie starzec — tutaj może o sto kroków, leży zabity żołnierz. Ma płaszcz, bardzo dobry płaszcz. Idź i zdejmij, co masz tak drżeć.

Żując dalej pokręciłem odmownie głową.

Starzec spojrzał na mnie pytająco.

— Nie podoba ci się? A umierać ci się podoba? Oj, ty...

Wstał i poszedł za stertę, w której przeleżałem noc i ranek. Wrócił taszcząc brudną i nadzwyczaj podartą kapotę.

— Nie chcesz z umarłego, to może moją nie pogardzisz? Bierz, chłopcze, ratuj życie.

Kapota była rozdarta prawie do samego kołnierza. Przydepnąłem połę i rozdarłem ją do końca. Jedną połę narzuciłem na ramiona, drugą podzieliłem jeszcze na dwoje i kawałkami owinąłem nogi.

Starcy obserwowali w milczeniu moje ruchy. Ja również nie starałem się kontynuować rozmowy. Nie do tego mi było: zęby mi latały, ręce i nogi, cały się trząsłem. Ubranie po wczorajszej kąpieli jeszcze nie wyschło...

Kiedy się umundurowałem w ten sposób, wstałem, pożegnałem się ze starcami i powlokłem do lasu.

— Hej, chłopcze — zawołał za mną starzec

Obróciłem się.

— Niech ci Bóg pomaga!... A broń masz?

Kiwnąłem głową potakująco.

— No to może, zanim zemrzesz, poczęstujesz choć jednego Niemca. No, czego stoisz? Idź, idź, przynajmniej nie na darmo umieraj!

Na brzegu lasu majaczyły jakieś postaci ludzkie. Pomyślałem sobie, że to Rosjanie. Bardzo by mi się chciało spotkać z lejtnantem i całą grupą, którą wczoraj zgubiłem.

Na prawo, o pięćset kroków, leżała niewielka wieś.

*

Polem biegła ode wsi dziewczynka. Bosa, w samej sukience. Biegła i krzyczała:

— A, a, a-a-a!

Ujrzawszy mnie, zatrzymała się gwałtownie o pięć kroków i przestała krzyczeć. Była to malutka, jasnowłosa dziewięcioletnia dziewczynka wiejska. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma.

Zbliżyłem się do niej, wyciągnąłem rękę i chciałem poklepać po główce. Odsunęła się o krok i usta jej zadrżały.

— Żołnierzyku! — wymówiła, z trudem łapiąc oddech. — Chodź ze mną, oj żołnierzyku, chodź prędzej! — wpiła się w moją rękę i pociągnęła w stronę wsi. — Niemcy depcą mamę, Niemcy ciągną mamę. Oj, wujku, no chodźmy prędzej!

Nie mogłem iść prędko, a dziewczynka chciała, żebyśmy biegli, wciąż mówiła: „Ratujcie mamę".

Uszedłszy piętnaście kroków zdałem sobie sprawę, że nie mogę z nią iść, że nie wolno mi poddawać się uczuciu. Zatrzymałem się.

— No co? — krzyknęła na mnie dziewczynka i szarpnęła moją rękę. Potem spojrzała mi w oczy, policzki jej drgnęły kurczowo, rzuciła moją rękę i pobiegła z powrotem do lasu, krzycząc znowu:

— A-a-a-a-a! — W głosie jej był taki smutek i rozpacz, że porwałem się za nią, wołając:

— Stój, stój, dziewczynko, idziemy do mamy!

Lecz ona się nie odwracała. Biegła tak prędko, że nie było nawet mowy, abym ją dogonił na moich zdartych nogach. Krzyczała bez ustanku i głosik jej słyszałem jeszcze trzy minuty... Dźwięczał w moich uszach jeszcze i następnego dnia i po tygodniu. Słyszę go i w tej chwili:

— Żołnierzyku, chodź ze mną!

*

Na brzegu lasu w krzakach ujrzałem trzech czerwonoarmistów. Wszyscy trzej nieśli na plecach duże, tęgo nabite worki. Wygląd mieli dosyć zmiętoszony, lecz płaszcze całe, choć brudne, i buty widać mocne.

Okazało się, że wszyscy trzej są szoferami. Krótko opowiedzieli mi historię swego okrążenia. Przedstawiłem się jako komisarz pułku. Nie wiem, czy mi uwierzyli, czy też było im to obojętne, ale przyjęli mnie do towarzystwa i „wzięli na wikt".

— Chodźmy, komisarzu, będziemy się naradzać — rzekł jeden z nich, gruby chłop z nalaną twarzą i ponurym spojrzeniem.

Powiedziawszy tak, mrugnął do przyjaciół. Poszli do dużej sterty, ja za nimi;

*) Fragment książki pt. „Organizacja podziemna działa". Całość ukaże się wkrótce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

ANDRZEJ NOWICKI

DRUGI NUNCJUSZ W LESIE *)

COMMENDONE nie był jedynym nuncjuszem papieskim, który na terenie Polski uprawiał działalność szpiegowską, spiskową i dywersyjną na rzecz Habsburgów. Jednym z licznych kontynuatorów „dyplomacji" Commendonego był nuncjusz Hannibal di Capua. Ciekawą rozprawę poświęcił mu Czesław Nanke: „Z dziejów polityki kuryi rzymskiej wobec Polski (1587 — 1589)". Lwów 1921. W dalszym ciągu będziemy ją często cytowali.

Arcybiskup neapolitański Hannibal di Capua został mianowany przez papieża Sykstusa V nuncjuszem w Polsce 6 września 1586 roku. Był już wtedy przynajmniej od dziesięciu lat agentem habsburskim. Nanke pisze, że składane przez niego w roku 1576 powinszowanie w imieniu papieża z okazji wstąpienia na tron Rudolfa II „zacieśniło węzły łączące go z Habsburgami i wycisnęło niezatarte piętno na przyszłym kierunku jego myśli i przekonań politycznych" (str. 11).

Nowo mianowany nuncjusz wyruszył z Rzymu do Polski tradycyjnym szlakiem nuncjuszów papieskich: przez Wiedeń. Co zaszło w Wiedniu, o tym Nanke szczegółowo nie pisze, stwierdzając tylko, że „nim nuncjusz opuścił dwór arcyksięcia Ernesta w Wiedniu... mogli Habsburgowie nabrać przekonania, że będzie oddanym ich stronnikiem" (str. 13). Z rozmów, jakie przeprowadził z biskupem ołomunieckim, Stanisławem Pawłowskim, wynikało, że nuncjusz „służbę Habsburgom uważa za główny swój obowiązek" (str. 14), ważniejszy od służby Watykanowi.

*) Patrz „Kuźnica" nr. 26.

ZNOWU AGENT HABSBURSKI

Przygotowania do działalności szpiegowskiej rozpoczął nuncjusz di Capua w sposób fachowy, omawiając z dworem cesarskim i arcyksięciem Ernestem sprawę „stworzenia pewnych a sekretnych dróg między Wiedniem, Pragą a Krakowem i Warszawą, tak aby mógł w każdej chwili porozumieć się z arcyksiążętami" (str. 14).

Nuncjusz „wjeżdża w granice Polski nie jako stróż interesów kościelnych, lecz jako emisariusz Pragi" (str. 14). Dwór Rudolfa II znajdował się w Pradze. Wyrażenie Nankego „emisariusz Pragi" znaczy tyle, co „agent habsburski". „W Polsce nie było żadnych złudzeń co do charakteru jego misji" (str. 14).

Di Capua był mianowany jeszcze za życia Stefana Batorego. Podróż jego z Włoch do Polski (przez Austrię) trwała jednak tak długo, że król zdążył tymczasem umrzeć i nuncjusz przyjechał na elekcję.

Wojewoda sandomierski, Stanisław Szafraniec, zwrócił uwagę na sesji sejmu konwokacyjnego (8 marca 1587 roku) na trudności, jakie wynikną z przyjazdu arcybiskupa neapolitańskiego w charakterze nuncjusza papieskiego a zarazem agenta Habsburgów. „Dobrzem ja zawsze radził legatów tych nie puszczać do Korony, a ten co jedzie... wielkie pieniądze wiezie" (str. 14), naturalnie w celu politycznego przekupstwa. Próbowano nuncjusza zatrzymać na granicy (znów temat dla filmu!). Nuncjusz „prawie przebojem" dostał się do Krakowa (str. 15). Wicewojewoda Mikołaj Zebrzydowski nie wpuścił go jednak do miasta i nuncjusz wraz z całą świtą musiał się ulokować na przedmieściu (str. 15).

PIENIĘDZMI I PROWOKACJĄ

21 marca 1587 r. bratanek papieża, kardynał Montalto wysyła z polecenia swego stryja szyfrowaną instrukcję dla nuncjusza. Nanke przytacza w załączniku oryginalny tekst włoski tego szyfru. „Gdziebyś mógł przyjść z pomocą domowi austriackiemu — powiada instrukcja — tam należy przyłożyć się do tego z wielką gorliwością... Z ojcowskiej miłości, którą papież otacza rodzinę cesarską, płynie życzenie, aby jeden z arcyksiążąt zasiadł na tronie polskim" (str. 19, 20 i 172). W końcu szyfru znajduje się „obietnica subsydiów pieniężnych i posiłków wojskowych" dla Habsburga, który miałby trudności z objęciem władzy w Polsce (str. 20).

W tym samym duchu został zredagowany następny szyfr z 6 kwietnia 1587 r. W wyniku obu szyfrów nuncjusz papieski „oddał się całą duszą na usługi Habsburgów" (str. 25).

„Nuncjusz stanowił ważny pomost między dworami Habsburgów a duchowieństwem polskim, na które z racji swego duchownego stanowiska mógł oddziaływać silnie i zjednoczyć cały kler dla jednego celu — pisze Nanke. — Pracował też głównie na korzyść arcyksięcia Ernesta" (str. 25).

Szczególnie interesujące są metody zalecane i stosowane przez nuncjusza w tej akcji na rzecz Habsburgów. Jak pisze biskup Stanisław Pawłowski, „nuncjusz radził, aby wysłać do koła czarnego (tzn. do zwolenników Zamojskiego) kilku zwolenników Ernesta, którzy by pozornie godzili się na plany kanclerza, a w tajemnicy pracowali dla kandydatury austriackiej" (str. 26). Chodziło więc o wysłanie do obozu Zamojskiego prowokatorów.

„Gorliwym pomocnikiem nuncjusza był kardynał Radziwiłł" (str. 26). Nic dziwnego, rodzina Radziwiłłów — podobnie jak inne rodziny magnackie — była rodziną kosmopolitów w najgorszym tego słowa znaczeniu i prawie zawsze prowadziła politykę sprzeczną z interesami Polski.

„Ernest był najzupełniej zadowolony z działalności Hannibala... któremu dawano do zrozumienia, że usługi wyświadczone domowi austriackiemu nie pozostaną bez nagrody" (str. 26).

Z książki Pastora wiemy o staraniach cesarza Rudolfa, aby nuncjusz otrzymał purpurę kardynalską (tom X, str. 173, 175, 552). Nuncjusz nie pracował za darmo.

Piątą kolumnę montował di Capua różnymi sposobami, zarówno pieniędzmi, jak środkami religijnymi, m. in. zobowiązując niektóre osoby przysięgą na Najświętszy Sakrament do wierności dla Habsburgów, mimo że królem obrany już był Zygmunt III (str. 28).

ZBROJNA INTERWENCJA

Pomimo wyboru króla „nuncjusz ani na chwilę nie przestał być czynnym sojusznikiem Habsburgów" (str. 29). W sześć tygodni po wyborze Zygmunta wzywa Masymiliana do jak najśpieszniejszego przybycia do Polski, aby zbrojnie zawładnąć tronem. „Byleby prędko przybył — pisze 29 września r. 1587 do ambasadora hiszpańskiego na dworze cesarskim w Pradze — sądzę z pewnością, że będzie miał nie wiele, a może i żadnej trudności... Co do mnie — zapewniał — oczekuję z największym upragnieniem przyjazdu Najjaśniejszego Maksymiliana w granice Królestwa dla oddania usług moich osobiście Jego Królewskiej Mości, co już i teraz w każdym zdarzeniu wedle możności czynię" (str. 30).

W połowie października 1587 roku Maksymilian rozpoczyna oblężenie Krakowa. Nuncjusz nie może się do niego dostać. Siedzi w Bodzentynie „pilnowany i strzeżony starannie przez ludzi Zamojskiego" (str. 31). Zamojski, wiedząc o tym, że nuncjusz jest agentem habsburskim, przejmuje jego listy (str. 32). Treść tych listów jest tak skandaliczna, że ujawnienie jej przez Zamojskiego wywołuje powszechne oburzenie na nuncjusza.

Biskup Hieronim Rozrażewski stwierdza, że „umysły są silnie w Krakowie podniecone przeciwko nuncjuszowi i że on sam, stając w jego obronie, omal nie naraził się na nieprzyjemności" (str. 39). Biskup krakowski Myszkowski „nie szczędzi nuncjuszowi gorzkich prawd, wcale nie obwijanych w bawełnę", donosząc mu, że „opinia powszechna uważa go (nuncjusza) za głównego sprawcę obecnych zamieszek i niezgody. Jako dowód przytaczają jakieś listy przejęte przez Zamojskiego" (str. 40).

28 grudnia 1587 roku odbywa się koronacja Zygmunta III, 9 stycznia 1588 roku nuncjusz przybywa do obozu arcyksięcia Maksymiliana, a 24 stycznia Zamojski zadaje Maksymilianowi klęskę pod Byczyną i bierze go do niewoli (zobacz obraz Matejki).

Kiedy w Watykanie zorientowano się, że awantura austriacka zakończy się klęską, postanowiono wycofać się dla uniknięcia kompromitacji. „Tajnym życzeniem Sykstusa było, aby Hannibal nie zaprzestał swej akcji na rzecz Maksymiliana — pisze Nanke — lecz aby to uczynił na własną odpowiedzialność. Rzym chciał być krytym, zachowując wszelkie pozory bezstronności" (str. 39).

Nam bezstronność nakazuje przyznać, że „papież odmówił Maksymilianowi pieniężnego poparcia" (str. 34). Uczynił to jednak wcale nie dlatego, żeby nie przyczyniać się do rozlewu krwi w Polsce, ale z powodów trafnie przedstawionych przez Nankego: „Dom Habsburgów uderzył w najdrażliwszą strunę psychiki Sykstusa V, który, oszczędny aż do skąpstwa, lubił napełniać, nie wypróżniać kasy papieskie", a jak zauważył współczesny poseł francuski Maisse: „już samo żądanie pieniędzy uchodziło w Rzymie niemal za kacerstwo" (str. 35).

Przekład JANINY PREGER

WALKI*)

ktoś w niej zrobił obszerne wgłębienie, rodzaj pieczary. Wróciliśmy tam i wygodnie ułożyliśmy się.

Szofer z ponurym spojrzeniem rozwiązał swój worek, wyciągnął dwie puszki konserw, flaszkę wódki i pajdę chleba. Bez pośpiechu pokrajał chleb, jednym zręcznym ruchem otworzył puszkę, położył mięso na kawałkach chleba, a do puszki nalał wódki i najpierw mnie podał.

Potem kolejno wszyscy wypili. Przegryźliśmy. Jeden z szoferów, ruchliwy brunet, sądząc z powierzchowności Żyd, rzekł do ponurego:

— No i co Stefan, będziemy tu tak przesiadywać w stertach?

Stefan rzucił na niego szybkie spojrzenie i nic nie odpowiedział.

Trzeci szofer, piegowaty chłopak z wiacką wymową, uderzył ponurego po ramieniu:

— Jazda, Stiopa, będziemy się przebijać przez front do swoich. Komisarz przybył do naszej sekcji, zdaje się, mocny chłop, weźmiemy go z sobą.

Stefan utkwił we mnie wzrok, wyciągnął długą, owłosioną rękę do orderu na mojej piersi i dotknął go.

— Komisarza nam właśnie brakowało — Widać było, że wódka szybko mu idzie do

głowy. — No i po co, głupi, to przywiesiłeś? — powiedział, wytrzeszczając oczy na order — zdejmij, zdejmij, bo jak nie, to sam ci zdejmę!

— Odejdź, nie zdejmiesz — rzekł piegowaty. — Nie rób szumu, Stefan, gadaj do rzeczy!

— Do rzeczy? A co mi do rzeczy? Nasza sprawa, fiut! — mruknął ponury. Nalał sobie jeszcze wódki, wypił, otarł się dłonią i dalej mówił tak samo powoli:

— Nasza sprawa krótka: weźmiemy komisarza za gładkie rączki, odprowadzimy komisarza do komendanta najbliższej wsi, a on niech już dochodzi, kogo do obozu, kogo na szubienicę. Z komisarzem znajdziemy u Niemców więcej zaufania! — Spostrzegłszy, że sięgnąłem za pazuchę, złapał mnie za rękę. — Poczekaj bratku, nie strasz, zdążymy się jeszcze pobić. I ja mam taką sztukę... Rzucaj swoją blachę na siano. A tu masz dokument.

Z tymi słowami wyciągnął z kieszeni kilka niemieckich ulotek — „przepustek". Uczyniłem wysiłek i uwolniłem rękę z jego chwytliwych palców, wydobyłem pistolet... Siedzący obok mnie z prawej strony piegowaty nagłym ruchem wybił mi broń z ręki. Chciałem się na niego rzucić, lecz on z kocią szybkością skoczył na Stefana.

— Zaprzedałeś się, draniu!

Brunet rzucił mu się na pomoc i we dwójkę przycisnęli swego towarzysza do ziemi.

— Poczekajcie, bracia, braciszkowie! — krzyczał Stefan. Bronił się pięściami i nogami, gryzł, wtem jakoś nienaturalnie zachrypiał i zaczął kopać ziemię obcasami.

Po minucie wszystko było skończone. Wylazłem na powietrze, odetchnąłem głęboko. Zaraz za mną wyleźli ze swoimi workami brunet i piegowaty. Piegowaty patrząc w bok i do nikogo się nie zwracając, powiedział:

— Psu — psia śmierć!

Otarłszy rękami pot z twarzy zwrócił się do mnie:

— Po co, towarzyszu komisarzu, strzelać napróżno, robić hałas. Czasem dobrze po cichu...

Więcej nie było mowy o tym wypadku. Poszliśmy w głąb lasu i każdy myślał o swoim. Ja myślałem o tym, że tych dwu czerwonoarmistów dało mi lekcję zdecydowania i koniecznego okrucieństwa.

*

W worku bruneta znalazł się płaszcz. Krótki, stary, ale wciągnąłem go z rozkoszą. Chronił mnie jakoś od wiatru i deszczu. Chłopcy mi dali też obszarpaną furażerkę. Teraz rzeczywiście byłem podobny do zbiega z niewoli.

Okazało się, że jesteśmy nietrwałą kompanią. Piegowaty chłopak za wszelką cenę postanowił przedrzeć się przez linię frontu. Szukał towarzyszy podróży. Moje zamiary pozostały niezmienne: szedłem do czernihowskiego obwodu. Brunet — nazywał się Jakub Zusserman — zdążał do ojczystego miasta Nieżyna. To miasto znajduje się również w obwodzie czernihowskim; na razie mieliśmy z Jakubem po drodze.

Po lesie włóczyło się mnóstwo ludzi. Prawdopodobnie byli to przeważnie tacy sami wędrowcy, jak my. Często tak się zdarzało: idzie jakiś człowiek, wyraźnie nas widzi i zmierza w naszą stronę. Już mu krzyczymy:

— Swoi, jazda tu przyjacielu, do nas!

A on naraz skręca w bok i ucieka. Szczególnie bali się samotni. Zresztą zrozumiałe: kto wie, co za ludzi spotyka...

Przenocowaliśmy w stogu siana na polance. Spaliśmy kolejno. Rano spostrzegłem z zadowoleniem, że polepszyło się trochę z moimi nogami.

Kiedy przegryźliśmy, powzięliśmy stanowczą decyzję: będziemy z większym uporem poszukiwać ludzi i klecić grupę jeśli nie partyzantów, to przynajmniej współwędrowców. Im więcej ludzi, tym większa siła.

Kiedy się tak naradzamy, patrzę, a tu w pobliżu przebiega chłopak. Zawołaliśmy go. Podszedł dosyć śmiało.

— Nie widziałeś tu, chłopcze, partyzantów?

— A co to są partyzanci?

Dzieciak kręci. Przy tym na ramieniu wiszą mu dwa ogromne buty żołnierskie.

— Skąd masz? — pyta piegowaty. — Dałbyś naszemu komendantowi, widzisz, że człowiek nieobuty.

Chłopak bez żalu zdjął buty z ramienia. Oba były z lewej nogi, ale wlazły. A ponieważ były obszerne, okręciłem jeszcze nogi resztkami płaszcza. Podziękowałem chłopcu i zapytałem:

— No, a jak z tymi partyzantami, nie widziałeś?

— A tu, za jarem są jacyś, ale nie wiem, co za ludzie. Idźcie tam — wskazał nam kierunek i ruszyliśmy.

Teraz czułem się jak król. Nogi w cieple. Kto był żołnierzem, rozumie, jakie to ważne. Wprawdzie często się potykałem, ale mimo to nabrałem humoru.

A jeszcze więcej się ucieszyłem, kiedy w grupie, która się rozłożyła za wąwozem, znalazłem znajomych — dwóch czerwonoarmistów z naszego oddziałku, z którym rozstałem się przed dwoma dniami.

Opowiedzieli mi, że z sześciu ludzi w strzelaninie nocnej raniono i złapano tylko jednego. O mnie sądzili, że zginąłem. Lejtnant z którymś z towarzyszy wybrał się rano na zwiady i nie wrócił...

Siedziało nas przy ognisku koło wąwozu raptem siedmiu ludzi. Dwóch zdążało do domu, do kijowskiego i żytomierskiego obwodu, reszta chciała koniecznie przejść przez linię frontu; przyłączył się do nich i szofer z Wiatki.

Żaden nie znał właściwie drugiego w tej grupie przy ognisku. Nastrój wszystkich był oczywiście wcale nie wesoły. Ale czy Rosjanie siedząc przy ognisku mogą milczeć? Więc rozmawialiśmy.

— Hej, wielki jest nasz kraj — rzekł ogromny dryblas w płaszczu. Leżał na grzbiecie i patrzył w niebo. — Nasz kraj wytrzyma, o tym nie ma co wątpić. Tylko pytanie...

No i nie powiedział, na czym polegało pytanie.

Z takich nieokreślonych wykrzyknięć i replik składało się w gruncie rzeczy nasza gawęda. Wciąż nasłuchiwaliśmy dalekich wystrzałów, szelestu liści. Każdy miał się na baczności wobec drugiego: często chwytałem na sobie uważne, oceniające spojrzenia.

— Nieźle idzie! — wykrzyknął mały czerwonoarmista, niemożliwie ściągnięty pasem. — Waśkę Siedycha sprzątnął odłamek, a mnie ominęło. Trzeba żyć... A kim jesteśmy bez armii, chłopcy? Kim jesteśmy w pojedynkę? Umiemy śpiewać o ojczyźnie „Szeroki mój kraj rodzinny", a kiedyśmy zostali sami, to cały kraj w brzuchu się mieści.

— Jak dla kogo — zaoponował dryblas, patrzący w niebo. I nie wytrzymał, podniósł się: — Czego mielesz językiem? Co ty wiesz o ojczyźnie? Dałbym ci raz... Żebyś nabrał pojęcia! — I zaczął skręcać papierosa, widocznie chciał zebrać myśli. — Na przykład ja, leżałem tu tak i myślałem, no powiedz, o czym?

— Wiadomo o czym — odrzekł mały czerwonoarmista — o babie, dzieciach, o swoim parszywym położeniu, i o tym, kiedy znowu będziesz jadł obiad.

— No i dureń z ciebie. Jest tu nas siedmiu. A zapytaj każdego, to się okaże, że o swojej materialnej biedzie człowiek nie myśli, przeciwnie, stara się o niej zapomnieć. Ja teraz myślałem o Uralmaszu, jest u nas taka fabryka w Swierdłowsku: ile też potrafi czołgów wypuścić... A ty o czym rozmyślasz? — zwrócił się niespodziewanie do sąsiada z prawej strony.

Tamten, zdjąwszy buty, siedział przed ogniem i grzał obierający palec.

Był to człowiek o szarej bardzo zmęczonej twarzy i bezbarwnych ze znużenia oczach.

— Ja? Wcale nie rozmyślam, towarzyszu. Ja marzę. W ogóle jestem marzycielem. Myślę, jak by można z Niemców zrobić dorzeczny naród, bo oni tylko ludzkość niszczą, ci Niemcy. Jak moja noga popuści naciągnę jakoś but, karabin na ramię — i marsz. I choćby nie wiem jak długo trzeba iść, krążyć i obchodzić — dojdę do Berlina! A jak złapiemy Hitlera za gardło, to będziemy mówić... Zaczął kaszleć, widać trudno mu było nawet mówić, tak się zmęczył.

— Ale ty, bracie, siedem razy zemrzesz, zaczym dojdziesz do Berlina! — krzyknął do niego mały czerwonoarmista.

— Zemrzeć nie zemrę, a zginąć w boju może trzeba będzie. Ale przed tym moim bojem ostatecznym będę marzyć i będę robić plany...

Choć powiedział to wszystko cichym i spokojnym głosem, nie można mu było nie uwierzyć, tyle przekonania było w jego twarzy.

— Słusznie, bracie, słusznie! — z radością zawołał z drugiej strony ogniska jakiś człowiek i nawet się cały rozjaśnił. — My, tacy jak ja i wy ludzie, chciałem się wyrazić radzieccy ludzie, nie umiemy żyć bez myśli o przyszłości. Jestem technikiem, pracowałem w Dnieprogesie. I tam się kształciłem, jeszcze na budowie. Więc leżę tej nocy, nakryłem się liśćmi. Szczękam zębami z zimna, a myślę sobie o tym, jak będziemy się odbudowywać po Niemcach? Przecież jest jasne, że wszystko wysadzą, i jasne, że potem będą uciekać, i jasne, że potem zbudujemy jeszcze lepiej! Przecie prawda, że jasne, towarzyszu?

Nikt mu nie odpowiedział, zmieszał się i młodzieńczo zarumienił.

— No, a jak jasne, to nie ma o czym mówić — mruknął ów ogromny człowiek, który zaczął pierwszy rozmowę. — No, jazda, towarzysze, wstawać! Nie słyszycie, że Niemcy do nas idą?

Rzeczywiście, coraz to bliżej słychać było serie z automatu. Niemcy istotnie zaczynali przetrząsać las.

Nie odrazu rozstaliśmy się. Jeszcze dwa dni wędrowaliśmy grupą z dziesięciu ludzi, wypytywaliśmy spotkanych, gdzie są Niemcy, którędy najlepiej przejść?

Las był tu rzadki, mieszany, często zdarzały się polanki i błota. Nad naszymi głowami wciąż przelatywały na południe ptaki.

Aleksy Fiodorow

*) Fragment powieści „Ludzie z jednego pnia".

OSTATNI WIERSZ JULIUSZA SŁOWACKIEGO

Utarło się powszechne mniemanie, że Słowacki w ostatnich kilku tygodniach życia swego nie tworzył wierszy. Wbrew temu przypuszczeniu okazuje się, że na miesiąc mniej więcej przed zgonem napisał wiersz p.t. „Zapomnienie". Mimo, że wiersz ten ogłosił jeszcze w 1909 r. Jan Pietrzycki w krakowskej „Nowej Reformie" (nr. 148, s. 2),[1]) i mimo, że zanotowałem ten wiersz w mojej „Bibliografii o Juliuszu Słwackim za rok 1909" (we Lwowie 1916, pod liczbą 1732), nikt o nim później nie wspomniał, nie wciągnął go też żaden wydawca do zbiorowego wydania dzieł poety. Wobec tego w 100 rocznicę śmierci poety ogłaszam wiersz ten zupełnie zapomniany.

ZAPOMNIENIE

Oto wracam ku tobie z serca myślą lewą —
Tą ostatnią, co anioł jej zgasić nie zdoła!
Pod cieniem twym kwitnące, czereśniowe drzewo,
Pod kamiennym spojrzeniem zimnego anioła
Chcę spopielić płonący serca żagiew złoty —
Sługa Boży, pokoju pełn i prostoty...

26 lutego 1849.

Autentyczność wiersza nie ulega najmniejszej wątpliwości, przemawia za tym nazwisko Jana Pietrzyckiego (1880 — 1944), znanego poety, wielbiciela Słowackiego. Pietrzycki ogłosił szereg ciekawych przyczynków do życia i twórczości poety, korzystając z nieznanych jego autografów. W danym wypadku żałować wypada, że nie podał, z jakiego źródła wiersz ten przytoczył. Dziś, po tylu latach, trudno będzie dotrzeć do autografu.

Za autentycznością wiersza przemawia ponadto jego treść.

Owo pragnienie wiecznego spoczynku pod czereśnią polską znamy z listów poety. Oto np. pisze w liście do „drogiego swego nauczyciela" Hipolita Błotnickiego (1795 — 1886): „Mam jedno marzenie piękne, ale piękne sny rzadko się spełniają. Znam cudne, umiłowane drzewo: to polska czereśnia osypana gwiazdami białego kwiecia, kołysząca się w wietrze, ku słońca promieniom radosna, pełna prawdziwej woni. Gdyby pod tą czereśnią zasnąć na sen wieczny!"

W innym jeszcze liście pisanym również do Błotnickiego, wyraża to samo pragnienie: „Śniłem mój grób pod czereśniową gęstwiną. Konary drzewa okrywałyby z jednej strony mogiły dziada mego i babki, z drugiej mogiłę moją".

W jednym z listów do matki pisze w ten sposób: „To dziwne, Mamo moja, że ja, który widziałem tyle miejsc i krajów, który zebrałem w pamięci tyle obrazów świata, spać będę może cicho na cmentarzu... pod cieniem tej czereszenki, która ocieni grób babuni. O gdyby tak był!..."

Podobną myśl wyraża Słowacki w przytoczonym powyżej wierszu, wspominając, że pragnąłby spocząć w grobie pod czereśniowym drzewem.

Zwracam jeszcze uwagę, że słowa poety w owym wierszu:

Oto wracam ku tobie z serca myślą lewą —
Tą ostatnią, co anioł jej zgasić nie zdoła,

przypominają początek w znanym jego wierszu:

Anioł ognisty, mój anioł lewy
Poruszył dawną miłości strunę.

Wiktor Hahn

[1]) Przedrukowany jeszcze w „Dzienniku Kijowskim" (1909, nr. 66, s. 2), lwowskim „Przeglądzie" (1909, nr. 87, s. 2) i w warszawskim „Dzienniku Powszechnym" (1909, nr. 93, s. 1).

Z DZIEJÓW PIERWOTNEJ AKUMULACJI KAPITAŁU

Przy okazji garść wiadomości o Sykstusie V. Aprobowane przez kurię arcybiskupią „Dzieje Papieży" Seppelta, Löfflera i Silnickiego nazywają go „jednym z największych i najgenialniejszych papieży, jacy kiedykolwiek zajmowali stolicę Piotrową" (str. 399). „Gdy Sykstus V objął rządy, kasy były puste a dochody zastawione już naprzód. Gdy umarł po pięciu latach, w zamku św. Anioła leżał skarb wynoszący przeszło cztery miliony złotych skudów" (str. 394).

Sumę tę zebrał Sykstus V nie tylko oszczędnością i... hodowlą jedwabników, „ale też dzięki innym zarządzeniom. Przede wszystkim papież rozbudował istniejący w państwie kościelnym system sprzedaży urzędów, podnosząc opłaty za istniejące urzędy i tworząc nowe urzędy; poza tym podwyższono podatki i daniny" (str. 394). Wspaniały jest tu komentarz b. profesora uniwersytetu wrocławskiego, teologa katolickiego Seppelta: „Na razie ta polityka skarbowa dawała bardzo dobre skutki, ale na stałe tak wielkie obciążenie kraju musiało się na nim odbić niekorzystnie" (str. 394). Niemoralności sprzedawania urzędów „przez namiestnika Chrystusa na ziemi" nasz katolicki teolog nie zauważył.

Za czasów Sykstusa V w Watykanie wszystko było na sprzedaż. Nieśmiertelny Pasquino wyprał sobie koszulę i wywiesił ją w niedzielę na słońce, żeby wyschła. Kiedy zgorszeni pogwałceniem niedzieli Rzymianie zwrócili mu uwagę, że mógłby zaczekać do poniedziałku, Pasquino odpowiedział: „Muszę się śpieszyć z rozwieszeniem bielizny, zanim jeszcze papież nie sprzedał słońca" (Corvin, str. 174).

„Genialność" papieża, o której pisze Seppelt, objawiała się przede wszystkim w niezmordowanym szukaniu i odkrywaniu wciąż nowych źródeł dochodu. Już jego poprzednik, Grzegorz XIII, „starał" się je znaleźć przez rewizję tytułów posiadania w państwie kościelnym; o ile komuś brakło tych dokumentów, dobra jego ulegały konfiskacie na rzecz skarbu apostolskiego. Zagrożone tymi, w zasadzie słusznymi — pisze Seppelt — konfiskatami, wielkie rody szlacheckie... sprzymierzyły się z bandytami. Członkowie rzymskiej arystokracji stawali na czele plądrujących band zbójeckich" (str. 393). Sykstus V postanowił wytępić bandytów terrorem. „Nie było dnia bez egzekucji, wszędzie w polu i w lesie sterczały na palach głowy bandytów" (Seppelt, str. 394).

Tę walkę papieża z bandytami opisuje obszernie Kazimierz Chłędowski w „Ludziach baroku":

„Całe państwo pełne było szubienic; pomiędzy Anagni a Frosinone wystawiono ich dwanaście a na każdej poprzybijano poświartowane ciała złoczyńców (tzn. wywłaszczonych przez papieża, A.N.). Na moście św. Anioła i na murach Moles Hadriani wisiało ciągle, miesiącami, po kilka i kilkanaście trupów, które w gorąca letnie się rozkładały, szerząc wokoło najwstrętniejsze wyziewy" (str. 69).

„Tylko tych legatów i gubernatorów chwalił papież — pisze Leopold von Ranke — którzy mu przysyłali wiele głów" („Die Päpste", str. 274).

Ekspropriacje, sprzedaż urzędów, powiększenie podatków — to były fundamenty zakładane przez Sykstusa V pod dzisiejszą potęgę finansową Watykanu.

DLA CESARZA — PRZECIW POLSCE

Wróćmy jednak do naszego Hannibala. Po rozbiciu i uwięzieniu Maksymiliana wydawało się, że nuncjusz skompromitowany działalnością na rzecz Habsburgów zostanie odwołany z Polski. Tymczasem, jak pisze Nanke, „burza zbierająca nad głową Hannibala została zażegnana... bo papież obawiał się, że odwołanie nuncjusza z Polski naprężyły stosunki (Watykanu) z dworem habsburskim... zwłaszcza, że cesarz jeszcze dawniej wyraził życzenie, aby Hannibal z Kapuy jak najdłużej pozostał w Polsce" (str. 49, 50).

„Dzięki możnym protekcjom" Hannibal utrzymał się na nuncjaturze w Polsce i 21 maja 1588 roku rozpoczął regularną nuncjaturę przy Zygmuncie III" (str. 50).

Na marginesie Nanke przypomina, że między Commendonem a Hannibalem z Kapuy był jeszcze jeden nuncjusz, ujawniony i skompromitowany jako agent habsburski. „O ile w polityce Sykstusa V tego czasu — pisze Nanke na str. 50 i 51 — bez trudu dopatrzyć się można analogii ze stanowiskiem Grzegorza XIII wobec wyboru Stefana Batorego, o tyle postępowanie Hannibala z Kapuy, jego oddanie się duszą i ciałem na usługi Habsburgów, jego ociąganie się z uznaniem już koronowanego króla, żywo przypomina działalność Wincentego Laureo w latach 1574 — 1576. Ten również pracując z polecenia kurii na korzyść cesarza... posunął się w tym tak daleko, że skompromitowany musiał opuścić Polskę".

Zabiegając o uwolnienie arcyksięcia Maksymiliana, Sykstus V wystosował do Zygmunta III specjalne breve (z 7 maja r. 1588), w którym pisał:

„Napominamy Cię i zaklinamy na krew Chrystusa, abyś powziął postanowienie tyczące uwolnienia arcyksięcia" (str. 56).

Dla wydostania Maksymiliana z niewoli wysłał Sykstus V specjalnego legata, kardynała Hipolita Aldobrandina (późniejszego papieża Klemensa VIII), który zaraz po pierwszej audiencji u Zygmunta III, 28 lipca r. 1588, „prosił, aby król bezzwłocznie i to bez żadnych zastrzeżeń uwolnił Maksymiliana" (Nanke, str. 77), grożąc Polsce wojną z Austrią i Hiszpanią a nawet Rosją (str. 96). Zamojski gotów był uwolnić Maksymiliana pod warunkiem, że złoży on przysięgę, iż rezygnuje z dalszej walki o tron polski. Podczas rokowań polsko-austriackich, w których z ramienia Aldobrandina pośredniczył Tolesano, jeden z Polaków powiedział pod adresem Stolicy Apostolskiej, że „nie damy się oszukiwać", a sekretarz Zamojskiego „zrobił głośną uwagę, że Tolesano zbyt stronniczo broni Habsburgów" (str. 97). Równie stronniczo zachowywał się kardynał Aldobrandino, toteż Polacy bardzo szybko doszli do przekonania, iż „Aldobrandino, który głosił urbi et orbi, że występuje jako bezstronny pośrednik godzący powagą Stolicy Apostolskiej w imię dobra Kościoła waśń między obu stronami, faktycznie jest tylko politycznym agentem tej kurii, która obecnie ma swe widoki w obronie Habsburgów, jak poprzednio miała w ich wyniesieniu... legat stracił kredyt u Polaków" (str. 121). Nanke wyraża się bardzo oględnie. Polacy nie mieli złudzeń, że kardynał Aldobrandino jest agentem habsburskim, który jadąc z Rzymu do Polski, wstąpił oczywiście „po drodze na dwór cesarski" (str. 72), aby zapewnić panów, którym służył, że podczas pobytu w Polsce będzie dbał „o godność i interesy Habsburgów" (str. 72).

KARDYNAŁ RADZIWIŁŁ I PRYMAS KARNKOWSKI

Mimo wszystko doszło do porozumienia, Maksymilian został uwolniony i oczywiście oszukał Polaków, nie składając przewidzianej w umowie przysięgi rezygnacyjnej. Dzięki interwencji Watykanu a w szczególności dzięki wysiłkom kardynała legata Aldobrandina arcyksiążę Maksymilian Habsburg odzyskał wolność i wróciwszy do Austrii nie przestawał się uważać za... króla polskiego. Nuncjusz Hannibal di Capua„ formalnie akredytowany przy Zygmuncie, uważa Maksymiliana za króla i rozpoczyna działalność spiskową dla zorganizowania prohabsburskiego puczu w celu obalenia Zygmunta. Pomaga mu w tym kardynał Radziwiłł, któremu cesarz „dla okazania swej łaski i względów posłał w prezencie zegarek złoty wartości 2.000 talarów" (str. 150). Maksymiliana tytułują w Austrii królem (str. 151) a w Polsce nuncjusz Hannibal... chodzi do lasu na spotkania ze spiskowcami.

Ze Sławkowa, w którym nuncjusz przebywał, „rozchodzą się wieści, że nuncjusz urządza tajne schadzki ze stronnikami Maksymiliana i że starał się przekupić starostę sławkowskiego, który miał w ręku jakieś dowody jego winy" (Nanke, str. 155). Do zdrajców pozyskanych przez nuncjusza należał również prymas Karnkowski, który ofiarował swe usługi domowi habsburskiemu (Nanke, str. 158).

Potwierdzeniem działalności nuncjusza na szkodę Polski są podziękowania cesarza Rudolfa. Między innymi zachowało się pismo cesarskie z 30 stycznia 1589 roku, w którym cesarz pisze, że wie, iż „nuncjusz gorliwie i bez ustanku popiera sprawy Habsburgów, czyniąc wszystko co w jego mocy, aby się im przysłużyć" (Nanke, str. 165).

W dalszym ciągu Nanke przypuszcza, że „nuncjusz udzielał dworowi austriackiemu tajnych informacji i ułatwiał przesyłanie listów" (str. 155). „Na ręce nuncjusza przychodziły listy Maksymiliana do różnych osób w Polsce, on też porozumiewał się z tajnymi agentami austriackimi, przybyłymi do kraju, i ułatwiał im zadanie" (str. 167).

*

Gdybyśmy dziś mogli wezwać na przesłuchanie Polaków z XVI wieku, którzy wiedzieli o nuncjuszu Hannibalu tysiąc razy więcej niż Nanke, odkryli by nam oni prawdę o polityce watykańskiej w stosunku do Polski, równie sensacyjną jak proces Doboszyńskiego. Dowiedzielibyśmy się od nich m. in. wielu szczegółów o działalności wywiadu watykańskiego, który zresztą od czasu Commendonego i Hannibala z Kapuy poczynił znaczne postępy i uważany jest dziś przez specjalistów amerykańskich za najlepszy wywiad świata.

Andrzej Nowicki

W przeszłość na wehikule czasu

Dlaczego na dogorywających z głodu „muzułmanów" oświęcimskich nie spływała manna Boża? Dlaczego żaden niewidzialny miecz nie ucinał ręki gestapowca w chwili, gdy mordował matkę i dziecko?

Z takich cudów cieszyłbym się bardzo, chociaż i one w niczym nie zachwiałyby mojego statecznego i wypróbowanego niedowiarstwa. Takim cudom to bym nawet poświęcił dużo czasu i uwagi, zbadałbym dokładnie ich mechanizm, przyswoił sobie zasady kierowania tym mechanizmem i puścił takie cuda na szeroki świat do powszechnego użytku, niby nową i zaiste wyśmienitą w działaniu broń.

Ale bywają cuda jeszcze inne.. Bywają i takie, że — jak na przykład ostatnio w katedrze lubelskiej — co najwyżej zapłacze sobie rzeźbiony czy też malowany wizerunek.

Tymczasem wiadomo, że już od dawna, od wielu wieków, dziad bezskutecznie przemawiał do obrazu, bo obraz miał takie obyczaje, że nie odpowiadał dziadowi ani razu. Zaiste, chwalebne i bardzo postępowe obyczaje miał ten obraz! Dobrze się stało, że przeszedł do skarbnicy przysłów narodowych. Był chytrzejszy od dziada, który chciał uczynić sobie zeń intratne przedsiębiorstwo. Bo obraz stanowił sobą tylko pewien kompleks martwych składników fizycznych, które nigdy nie kłamią, dziad zaś był istotą żywą i miał w tym swój perfidny interes, gdy udawał, że obraz doń przemawia.

Stary jest dziad. Pamięta i chwali nie tylko czasy pańszczyzny, ale zachwyca się również magicznymi praktykami średniowiecza. To jego płatna profesja. Jest przecież na usługach tego klanu ludzi, którym zależy na szerzeniu ciemnoty, bo dzięki niej mogą bezkarnie czerpać dla siebie obfite zyski materialne. Słynące z cudownych figur i uzdrawiających źródeł klasztory i kościoły były w średniowieczu terenem wspaniałej eksploatacji wiernych poprzez ofiary, sprzedaż dewocjonaliów, win i odpustów oraz mnóstwa temu podobnych rzeczy.

Jak się okazuje, nie tylko w średniowieczu, ale niekiedy i dziś takie praktyki miały i mają inne jeszcze, daleko istotniejsze znaczenie. Były to i są wyczyny na rzecz możnych tego świata, żeby nie używać już zróżniczkowanych historycznie terminów.

O jaki zamaskowany sens tutaj chodzi?

O sens bardzo prosty. Kto nie wierzy w to, że obraz przemawia do dziada, jest już człowiekiem niebezpiecznym, bo niepodatnym do rządzenia. Śmie podawać w wątpliwość nadprzyrodzone podstawy, na których opiera się hierarchia możnych tego świata. Śmie krytykować urządzenia tego świata, zamiast służyć w pokorze ustalonemu przez siły nadprzyrodzone porządkowi feudalnemu czy kapitalistycznemu. Broni się przy pomocy religii praw feudała i kapitalisty, bo się jest feudałem czy kapitalistą, niech więc od czasu do czasu zapłaczą obrazy, żeby to wszystko było mocniejsze. I niech płatny dziad rozgłosi, że obraz doń przemówił. W Lublinie płatny dziad nosił biało-żółtą opaskę papieską na rękawie.

Taki — bezsprzecznie klasowy — jest właściwy sens wydarzeń zaaranżowanych w katedrze lubelskiej. Ci, którzy te wydarzenia obmyślili, ponoszą odpowiedzialność za to, że w tłumie uduszono młodą dziewczynę, a kilkanaście innych osób doznało ciężkich obrażeń. Należy jednak postawić teoretyczną kropkę nad i, należy dopowiedzieć sobie, w którym kierunku prowadzą tego rodzaju magiczne praktyki, jakimi wykazano się w Lublinie.

Bo ostatecznie c u d jest sprawą wyobraźni, która niekoniecznie musi być narzędziem zła i głupoty. Powieść fantastyczna przyzwyczaiła nas do najrozmaitszych odmian cudów, które jednak były na tyle dobrotliwe, że ani nie spowodowały niczyjej śmierci ani też nie zaszkodziły postępowi myśli ludzkiej. H. G. Wells napisał świetną powieść fantastyczną pod tytułem „Podróż w czasie". Bohater tej powieści rozporządza „wehikułem czasu", pozwalającym mu odbywać podróże poprzez dalekie epoki. Ale bohater tejże powieści jest na tyle inteligentny, że odbywa przy pomocy swego wehikułu podróż w przyszłość, bo tam tylko mogą się odnaleźć ciekawe i twórcze rozwiązania najtrudniejszych zagadnień naszej współczesności. O przeszłości wiemy już wszystko — i nie ona zmieni na lepsze nasze życie.

Jeżeli więc mamy już b a w i ć s i ę w cuda (które przecież uczeczywistnia codziennie ludzka myśl i praca), to jazda „wehikułem czasu" w przeszłość jest trudem na pewno daremnym. Tam już wszystko jest przegrane — razem z feudalizmem i kapitalizmem, razem z Żychoniem i Pełczyńskim.

A jeśli ktoś koniecznie chce jechać „wehikułem czasu" w przeszłość, to można mu życzyć jedynie szczęśliwej podróży! Niech sobie jedzie samotnie i bezpowrotnie. Oszczędzi innym zbytecznej fatygi usuwania go z drogi.

Ludzie, za którymi przepadam i którzy tworzą nowe życie, mają już taką wyobraźnię, że wehikułem czasu jeżdżą tylko w przyszłość. Cudem jest dla nich sztuczny deszcz nad zagrożonymi suszą polami całego kraju, cudem są połączone błyskawiczną komunikacją socjalistyczne miasta wśród nieskończonych ogrodów. Cudem jest tworzenie dóbr użytkowych dla człowieka. Do pracy nad urzeczywistnieniem takich cudów skłania mnie wielowiekowy płacz ludzki. Płaczące obrazy nie budzą we mnie żadnych marzeń. Płaczące obrazy ośmieszają wyobraźnię, a wiadomo, że śmieszność należy do rzeczy najbardziej kompromitujących.

KANDYD

STANISŁAW WITOLD BALICKI

DOŚWIADCZENIE Z „ODWETAMI"

„Odwety" Leona Kruczkowskiego, choć akcja ich rozgrywa się wiosną r. 1946, już w chwili warszawskiej prapremiery (maj r. 1949 — Teatr Polski) były dramatem historycznym. Nie tylko tematycznie ale ideologicznie i artystycznie.

Z tego charakteru swej sztuki początkowo sam autor nie zdawał sobie zapewne dostatecznie sprawy, zwłaszcza że świadomie i odważnie sięgnął po problematykę ideologicznego chaosu i politycznego rozbicia wśród inteligencji polskiej w pierwszym dwuleciu niepodległości. Kruczkowskiemu szło niewątpliwie o sformułowanie pewnej autentycznej rzeczywistości społecznej i historycznej oraz o rozegranie w ramach teatru i przezwyciężenie, choćby w rzeczywistości jeszcze nie do końca przezwyciężonych konfliktów ideologicznych w obrębie tej samej sfery inteligenckiej. Silne jednak nawyknienia i literackie obsesje — sprzeczne z logiką czasu — podsunęły autorowi, nagminne w mdłym rozlewisku poromantycznego i oportunistycznego mieszczańskiego dramatopisarstwa, gotowe już szablony, które zatarły ostrość dramatycznego widzenia i zniekształciły konstrukcję utworu. Wraz z błędami ideologicznymi otrzymaliśmy dokument przeszłości artystycznej, w którym straszyły jeszcze cierpiętnicze, mięczakowate upiorki naszej literatury.

Odpowiedzialność pisarska Kruczkowskiego, jak i rzetelne ambicje artystyczne, kazały mu wykorzystać naukę ze scenicznych konfrontacji tekstu i poprowadzić inaczej akcję sztuki, począwszy od zakończenia aktu drugiego. W niespełna rok od warszawskiej prapremiery, po której przyszły przedstawienia na kilku scenach prowincjonalnych oraz w praskim Narodnim Divadle, dał Kraków prapremierę n o w y c h „Odwetów", sztuki klarowniejszej, dojrzalszej. Jasno i mocno stawiającej problem walki „dwóch światów" o duszę młodzieży, problem rozwiązywany wprawdzie, mimo wyraźnych dokumentacyjnych akce-

Stary Teatr w Krakowie — „Odwety" Na zdjęciu W. Macherski — Okulicz i M. Cebulski — Julek

soriów, w pozaśrodowiskowych i pozaczasowych wymiarach moralno-psychologicznych, ale zgodnie z koniecznością faktów politycznych.

Kruczkowski, bynajmniej nie przeceniając „doskonałości" drugiej wersji sztuki (granej obecnie, obok Krakowa, w Częstochowie i we Wrocławiu), zwraca uwagę w krótkiej notatce dla „Listów z teatru", że „na doświadczeniu z „Odwetami" można wykazać bardzo wyraźnie, jak ścisłe związki zachodzą między konstrukcją artystyczną utworu literackiego a jego wyrazem ideologicznym. Jasna, przejrzysta i trafna myśl ideologiczna jest jednym z warunków

Stary Teatr w Krakowie — „Odwety". Reżyserował Roman Zawistowski, dekoracje Józefa Piętkówna

bezbłędnej konstrukcji dramatu i odwrotnie: logika dobrej budowy artystycznej pomaga pisarzowi w prawidłowym przeprowadzeniu myśli ideologicznej... Losy tego utworu o podwójnej wersji mogą być, zarówno dla autorów dramatycznych jak i dla krytyków, interesującym materiałem poglądowym, ukazującym związki i zależności między prawami i prawidłami dramaturgii a dialektyką konfliktów i problemów ideologicznych, politycznych i moralnych".

Przypatrzmy się więc, choć pobieżnie, akcji obu wersji, bo właśnie ona przesuwa akcenty konfliktu i wyznacza nasz do bohaterów stosunek.

Sanacyjny pułkownik Okulicz, mieszkający po powstaniu warszawskim w jednym z mniejszych miast wojewódzkich, jest czynnym członkiem reakcyjnego podziemia, które, przygotowując się przy poparciu i współpracy „wewnętrznej emigracji" do „dużej rozgrywki", wykorzystuje do zamachów bratobójczych obałamuconą, oszukaną młodzież. Narzędziem zbrodniczej działalności Okulicza, a zarazem jego patologicznej zemsty na żonie Sabinie, jest owoc jej zdrady małżeńskiej, 19-letni Julek, ze względów kastowych w okrutnym układzie małżeńskim uznany przez sanacyjnego kawalerzystę za własnego syna. Jemu rozkazuje Okulicz wykonać „z polecenia organizacji wyrok śmierci" na Jagminie, wieloletnim działaczu lewicy, który, chroniąc się przed represjami politycznymi, wyjechał blisko 20 lat temu do Francji, walczył później w Hiszpanii w brygadzie generała Waltera, i dopiero przed rokiem powrócił do Polski, by nadal rozwijać działalność partyjną, pełniąc równocześnie obowiązki dyrektora gimnazjum. U niego posadę sekretarki znalazła, dusząca się w atmosferze domowej Okuliczów, ich córka, starsza od Julka Matylda, która, wywieziona na roboty przez Niemców, dopiero przed kilku tygodniami powróciła do kraju i pozytywnie odnosi się do przemian.

Julek późnym wieczorem wtargnął do mieszkania Jagmina, ale ten obezwładnił zamachowca. Jako pedagog ma teraz w swoim ręku doskonały materiał doświadczalny. Przedstawiciel młodzieżowego podziemia okazuje się — gdy mu wytrącono z dłoni rewolwer — zupełnie bezradny, całkowicie bezbronny ideowo. Na ustach tylko sztuczny, wyuczony, rzekomo patriotyczny frazes. Nagle Jagmin z przerażeniem odkrywa w zamachowcu swego syna. Postanawia go ratować, wyrwać z „podziemnej roboty". — I tu wspólna dotąd treść obu wersyj zaczyna w każdej rozwijać się inaczej.

Pierwotnie Julek, poznawszy przez przypadek także swoją tragedię, porywa rewolwer i rani się poważnie samobójczym wystrzałem. Przewieziono go do szpitala. Nie uniknie odpowiedzialności karnej, bo milicja rozpoczęła śledztwo i wie, zresztą od samego Jagmina, o zamachu na niego. Jagmin spotyka się z Sabiną, spotyka się także z Okuliczem, który dopiero teraz w przeciwniku politycznym odnajduje i swego osobistego wroga. I właśnie dlatego, że czuje się winny moralnie wobec Okulicza — Jagmin, choć zna wszystkie zbrodnicze sprężyny działające nie tylko czynem Julka, puszcza wroga swojej ojczyzny wolno.

Takie postawienie i rozwiązanie konfliktu musiało budzić sprzeciwy. Ideologiczna wymowa dramatu była co najmniej mętna i niepokojąca, a nawet może szkodliwa, zwłaszcza przy nietrafnych akcentach wykonania scenicznego, tym bardziej, że była niezgodna z rzeczywistością polityczną. Jagmin, reprezentujący wielkość zwycięskiej idei, z przyczyn czysto osobistych przegrywał w dramacie do nędznej, ale mocno zarysowanej kreatury Okulicza.

Stary Teatr w Krakowie — „Odwety". Na zdjęciu B. Gerson-Dobrowolska — Sabina i M. Cebulski — Julek

Ale i moralność mieszczańskiego dramatu zaskakiwał fakt, że w osobie Julka ukarany został „ślepy miecz" a nie ręka działająca. Przesłoniło to i polityczną, dobrze nam skądinąd znaną prawdę, że właśnie przez zwycięską władzę ludową zastosowana szeroka amnestia dla zagubionych w zwyrodniałej konspiracji — ocaliła tysiące młodzieży, pozwoliła im odnaleźć właściwą moralność i ideologię, odzyskała ich dla konstruktywnej pracy.

W wersji drugiej silny akcent konfliktu zatrzymuje się na osobie Julka, czyniąc w ten sposób wyraźnie z tego przedstawiciela pewnego odłamu młodzieży — bohatera sztuki. Julek nie podsłuchał rozmowy Jagmina z Matyldą, nie wie więc nic o tym, że godził we własnego ojca. Ucieka z ukrycia w mieszkaniu Jagmina i w całonocnej wędrówce po bezdrożach (poza sceną) poddaje rewizji dotychczasowe działanie. Wstrząs po nieudałym zamachu, jak i dialektyka Jagmina, każą mu w silnym dramatycznym starciu z Okuliczem buntować się przeciw kajdanom posłuszeństwa wobec mocodawcy. Ten wymusi jeszcze na swej ofierze, by jako zdekonspirowany „człowiek honoru" popełnił samobójstwo, ale przypadek uratuje życie chłopca dającego się ocalić dla społeczeństwa. Spotkanie Jagmina z Okuliczem zakończy się również inaczej. Wprawdzie wroga politycznego był gotów Jagmin i tym razem puścić swobodnie, widząc w nim „odchodzącego bankruta", którego „czas minął raz na zawsze", ale odkrycie nowego rozkazu danego Julkowi osądzi jako „zwyczajną zbrodnię" i odda Okulicza w ręce sprawiedliwości.

Tak poprowadzone „Odwety" zachowują oczywiście skrzyżowanie konfliktów osobistych z ideologicznymi, ale dają im inne rozstrzygnięcie, co ludziom obarczonym kompleksami Jagmina może ułatwić odnalezienie właściwej problematyki moralnej, jakże zgodnej z płaszczyzną polityczną. Dzieje się to po przez akt trzeci, który, oczyszczony z poprzednich sztucznych, melodramatycznych scen, w dramatycznych starciach z przeciwnikiem ukazuje już Julka i Jagmina jako postacie działające i w tym działaniu dynamizujące swe przeobrażenia. Nie są to jeszcze nowi ludzie, bohaterowie epoki przez nas przeżywanej. Sztuka Kruczkowskiego omawia dzień wczorajszy, odrabia zaległości, niewiele postuluje, raczej unaocznia i likwiduje przeżytki i nieużytki, doświadczając równocześnie ludzi zaskoczonych dialektyką przemian albo też nawet, jak Jagmin, nie nadążających ich dynamice.

O Julka, jak w moralitetach, walczą: duch nienawiści — Okulicz, i duch miłości — Jagmin. On sam, Julek, nie umie się jeszcze wyzwolić. Dialektycznych przemian i dynamicznego działania nie reprezentuje także Matylda. Ale dziesiątki tysięcy rzeczywistych Julków i Matyld, wyzwolonych własnym działaniem, przeżywających nowe konflikty, najsilniej związane z konkretnością czasu i miejsca, szukają jako bohaterowie dramatu swoich autorów. Tak samo czekają na autorów nowi Jagminowie. Nie miejmy większego żalu do Kruczkowskiego, że żeromszczyzną nasycony jest jego Stefan Jagmin z „Odwetów". Niech miękkie upostaciowanie miłości — psychologizujący humanista, obarczony bardzo mieszczańskimi kompleksami osobistymi, rozklejającymi bojowego działacza, przeszkadzającymi mu w należytym rozeznaniu obiektywnych prawd i w społecznym, politycznym działaniu — zamyka krąg bohaterów dnia wczorajszego, przewalczony w pisarzu i w świadomości widzów. Następni Jagminowie będą już w teatrze — socjalistami, przeżywającymi istotne konflikty nowej epoki, i potrafią znaleźć właściwy do nich stosunek, twórczo mobilizujący.

Sztukę w nowej wersji, mimo błędów przekazanych przez pierwszą koncepcję, krakowski teatr opracował reżysersko trafnie i właściwie obsadził, dobrze rozeznając się w jej akcentach i sugestiach politycznych. Reżyseria Romana Zawistowskiego wykorzystała należycie zalety rzemiosła dramatopisarskiego Kruczkowskiego, wraz z sugestywnym i mocnym wykonawcą roli Jagmina Tad. Białoszczyńskim przychodząc autorowi z pomocą tam, gdzie pewna refleksyjność i deklaratywność osłabiała nurt dramatyczny. Z pasją, ale i z właściwym stosunkiem do roli, zagrał Okulicza W. Macherski. Wzruszająco i szczerze akcentował przemiany Julka M. Cebulski. Gerson-Dobrowolska (Sabina), Lityńska (Matylda), Bednarska i Jabłoński (Lemańscy), M. Kierzkowa (Teresa) i A. Kruczyński (Urbaniak) stanowią dobrą obsadę ról dalszoplanowych.

Stan. Witold Balicki

Z I Ogólnopolskiej Wystawy Portretów Przodowników Pracy w Warszawie

Jerzy Oset, Centrala Węglowa Gdańsk
mal. Stanisława Rogińska

Paweł Kukuła, Huta „Bobrek" Katowice
mal. Marian Wyrożemski

Tadeusz Świątkowski, Lublin
mal. Władysław Filipiak

EWA KORZENIEWSKA

Nowe wydania Balzaca

Stwierdzenie, że Balzac jest jednym z największych realistów świata, wygląda obecnie na komunał, gdyż jest stwierdzeniem rzeczy powszechnie znanej. Patrząc wstecz na tle literatury późniejszej, zwłaszcza końca wieku XIX, osiągnięcia Balzaca, zawsze wielkie, nie wydają się czymś tak nadzwyczajnym, jak były naprawdę. Przyjęta i wielokrotnie naśladowana przez następców balzakowska metoda widzenia i przedstawiania świata utraciła swoją rewelacyjną nowość i świeżość, jaką musiała mieć w okresie powstania. Cała twórczość Balzaca była bowiem niewątpliwą rewelacją jako żywiołowy wybuch talentu i jako najzupełniej nowy sposób traktowania zadań i roli powieści. Widzenie świata — jak o tym dobrze wiedzą artyści — a zwłaszcza pokazanie rzeczywistości jest czymś niezmiernie trudnym, nawet w naszej epoce, która uczy patrzeć i obserwować, która dzięki sztuce wielkich realistów daje pisarzowi technikę realistycznego pokazywania świata.

Twórczość Balzaca wyrastała w okresie największego nasilenia romantyzmu, a więc kierunku, który ujmował rzeczywistość w kategorie filozofii i estetyki idealistycznej, który zwłaszcza w dziedzinie powieści operował konwencjonalnymi schematami i tworzył wyidealizowanych bohaterów poruszających się po nierzeczywistym świecie fikcji literackiej. Balzac musiał nie tylko na nowo zobaczyć ówczesną rzeczywistość, musiał jeszcze przezwyciężyć te konwencje literackie, które ciążyły nad epoką. Że nie była to droga prosta ani łatwa nawet dla talentu tej miary, o tym świadczy cały rozwój jego twórczości, która stopniowo przezwycięża tradycje romantyzmu i idealistyczną koncepcję świata, aby w szczytowym okresie rozwoju wydać tak wielkie dzieło, jak cykl „Komedii ludzkiej". Dwie ostatnio wydane przez „Książkę i Wiedzę" powieści Balzaca „Jaszczur"[1] (z 1830—31 r.) i „Kawalerskie gospodarstwo"[2] (z 1842 r.) stanowią niezwykle symptomatyczne świadectwo i ewolucji talentu, i przechodzenia od romantycznej wizji świata do surowego realizmu wielkich arcydzieł.

W „Jaszczurze" zaledwie niektóre sceny zdradzają przyszłego wielkiego realistę, a więc zwłaszcza opisy środowiska i sylwetki postaci drugoplanowych, kreślone paru niezwykle wymownymi pociągnięciami. Wszystko inne — akcja, postacie pierwszoplanowe, zawiązanie intrygi — tkwi głęboko w konwencjach romantyzmu. Późniejsza umiejętność Balzaca koncentrowania akcji wokół zagadnienia charakterów i wydarzeń społeczno-politycznych tutaj potrzebowała jeszcze sztucznego i fantastycznego motywu jaszczura. Ów fatalizm odgrywa rolę ośrodka powieści i decyduje o przebiegu wydarzeń i losach postaci. Potem czynnikiem równie dynamicznym i groźnym w swej funkcji stanie się władza pieniądza lub władza namiętności, kierująca dziejami bohaterów i wyznaczająca przebieg wydarzeń. Jest to właśnie najbardziej typowe przejście od konwencjonalizmu dawnej powieści operującej sztucznymi środkami wiązania akcji do najbardziej realistycznego łączenia losów postaci ze strukturą ekonomiczną ustroju i z wewnętrzną siłą namiętności ludzkich.

W „Jaszczurze" dzieje bohaterów są jeszcze słabo związane z życiem ustrojowym i społeczno-politycznym. Odkrywcza pasja autora w odsłanianiu dynamiki procesów społecznych przejawia się jedynie w celnych dyskusjach lub fragmentarycznych charakterystykach środowiska. W twórczości późniejszej losy postaci są uwarunkowane ówczesną sytuacją ustrojową i polityczną i kształtują się w zależności od dziejów Francji. Ta głęboka i rozległa wiedza ekonomiczno-społeczna jest czynnikiem tak zaborczym, że nawet działa wbrew świadomym planom powieściowym autora. We wstępie do „Kawalerskiego gospodarstwa". Balzac w ten sposób określa charakter swego utworu: „Nie zdarzyło mi się może nakreślić obrazu, który by dobitniej wykazywał, jak bardzo nierozerwalność małżeństwa potrzebna jest Europie, jakich nieszczęść powodem staje się słabość kobieca i jakie niebezpieczeństwa wnosi ze sobą interes osobisty, kiedy jest bez hamulca". I oto słowa te wyglądają na wyznanie człowieka, który nie zdając sobie sprawy z doznawanego trzęsienia ziemi, mówi, że ma dreszcze. W „Kawalerskim gospodarstwie" zarówno macierzyńska bezsilność Agaty, jak i tragedie małżeńskie są ledwo dostrzegalnym fragmentem — jakkolwiek są ukazane w całej prawdzie i tragizmie ludzkiego losu. Wszyscy bohaterowie tej powieści są bowiem tylko pionkami w wielkim procesie życia społecznego. Nie słabość macierzyńska decyduje o losach i charakterze Filipa. O tym decydują ówczesne losy Francji, niespokojne czasy Rewolucji, Cesarstwa i Restauracji. Wielki instynkt twórczy Balzaca kazał mu rzucić na tło tych dziejów także opowieść o innych wykolejeńcach tego okresu, tzw. „rycerzach bezrobocia". I właśnie dzięki zestawieniu tych najrozmaitszych młodych ludzi, których upoiła i wykoleiła era napoleońska, Balzac osiąga wielki sukces artysty, pokazując typowe i najbardziej znamienne procesy ówczesnego życia.

Taką samą niezmiernie doniosłą ewolucję od konwencji romantycznych do prawdy życia odbywają postacie Balzaca. Rafael z „Jaszczura" jest rodzonym bratem postaci Byrona i Chateaubrianda. Poetyczny i namiętny, ambitny i nieśmiały, wahający się między pragnieniem życia a spokojem śmierci, wyżywa się w patetycznych uczuciach i melodramatycznych zwierzeniach. Uwikłany w tragizmie swego losu jest postacią typowo romantyczną. To był bohater wczesnego okresu twórczości Balzaca — tej twórczości, która później nawet zachowując patos romantyzmu, wydała tak drapieżnie realistyczne postacie, jak Vautrin, Lucjan de Rubempré i wiele innych. W „Kawalerskim gospodarstwie" nawet z patosu romantycznego nic nie pozostało. Została się jedynie wydobyta z siłą przez romantyzm prawda wielkich ludzkich uczuć i namiętności. Taką szlachetną namiętność dla sztuki i twórczości żywi Józef — taka namiętność, miłość macierzyńska jest sensem i treścią życia Agaty Brideau. Odsłaniając w tej powieści jeszcze wiele innych namiętności ludzkich, Balzac czyni to z pasją wielkiego obserwatora i artysty, bowiem każda z nich zamienia się pod jego piórem w żywą, pełną prawdy ludzkiej postać. Postacie te żyją w powieści nie tylko dlatego, że objawiają silne namiętności — wielkimi namiętnościami płonął i Rafael z „Jaszczura". Ich prawda rodzi się z ścisłego powiązania losów ludzkich z nurtem życia ówczesnej Francji. Tragiczna miłość Agaty do syna upaja się najpierw jego sukcesami w armii napoleońskiej, widzi bohatera w uwięzionym zdrajcy spisku, potem osłania upadek moralny Filipa jego wiernością dla cesarza. Wydarzenia społeczno-polityczne decydują tu o losach i kierunku namiętności ludzkich. Dzięki temu postacie nabierają plastyki i wyrazistości żywych ludzi a świat powieściowy staje się światem prawdziwego życia.

Podobnym przeobrażeniom uległ i styl Balzaca, który z konwencjonalnej i patetycznej mowy bohaterów romantycznych przeszedł w niezwykle bogaty i jędrny, ale prosty i wymowny język sztuki prawdziwie realistycznej. W „Jaszczurze" rozmowy postaci drugoplanowych mają już tę właściwą Balzacowi trafność i siłę późniejszych powieści. Natomiast styl rozmów miłosnych i wynurzeń Rafaela jest typowo koturnowym językiem romantyzmu. Nurza się wprost w nadmiarze efektów stylistycznych, zdań wykrzyknikowych, pompatycznej retoryczności zdania. Nasycony nadmiarem uczucia, wybucha liryzmem, żongluje romantyczną frazeologią. Język Balzaca w „Jaszczurze" jest jednym z najbardziej widocznych środków melodramatyzowania postaci i wydarzeń. W późniejszych utworach język i styl Balzaca godzi trafność i ekspresyjność z surowym postulatem prawdy życia. Został bowiem podporządkowany, jak wszystko inne, prawom rzeczywistości. Bohater romantyczny wygłaszał w wystylizowanej pozie romatyczne tyrady. Filip, żołnierz armii cesarskiej, czy Agata, matka sprzedająca rentę, aby pokryć honorowe długi syna, muszą mówić językiem właściwym swemu charakterowi i środowisku. Język Balzaca mówiącego od siebie jest językiem obserwatora i komentatora otaczającego życia. Bogactwo słowa, piękna struktura zdania jest tutaj wyrazem i odbiciem głębokości i pełni widzenia świata.

Realizm Balzaca, wielokrotnie opisywany i stawiany za wzór, będący wyrazem talentu i rozległej wiedzy o życiu, ciągle jeszcze może być i będzie tematem nowych badań i nowych zachwytów.

Przykład twórczości Balzaca jest niezmiernie pouczający. Realizm nie jest najłatwiejszym, lecz może najtrudniejszym zadaniem sztuki. Wymaga prócz talentu, głębokiej wiedzy o życiu społecznym i zdolności obserwacyjnych, także technicznej umiejętności rzemiosła pisarskiego. Łatwiej jest bowiem zdobyć pewien zasób szablonów literackich dla konwencjonalnej stylizacji, niż opanować te środki wyrazu, które zdołają przekazać realistyczne widzenie rzeczywistości w jej prawdziwym kształcie. Dlatego osiągają tę prawdę tylko najwięksi twórcy tacy jak Balzac, Stendhal, Tołstoj, Prus, Gorki.

Ewa Korzeniewska

[1]) **Balzac:** „Jaszczur". Przekł. Boy-Żeleński. „Książka i Wiedza", W-wa, 1949.
[2]) **Balzac:** „Kawalerskie gospodarstwo". Przekł. Boy-Żeleński. „Książka i Wiedza", 1949.

ZJAZD NAUKOWO-LITERACKI

W roku jubileuszowym Adama Mickiewicza i Juliusza Słowackiego oraz w przededniu Kongresu Nauki Polskiej, staraniem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza i Instytutu Badań Literackich odbędzie się w Warszawie w dn. 4 — 7 listopada 1949 r. Zjazd naukowo-literacki.

Zgłoszenia udziału w Zjeździe należy kierować pod adresem Seminarium Historii Literatury Polskiej UW, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 26/28, na ręce mgra Jerzego Pelca, do dnia 1 października br. Karty uczestnictwa upoważniające do korzystania z ulg i świadczeń oraz szczegółowe programy Zjazdu będą rozesłane po otrzymaniu zgłoszeń, w ilości przewidzianej dla poszczególnych ośrodków.

Prof. dr **Julian Krzyżanowski**
Prezes Tow. Literackiego im. A. Mickiewicza

Prof. Stefan Żółkiewski
Dyrektor Instytutu Badań Literackich

KRONIKA RADZIECKA

Bilans zimowego sezonu teatralnego

Naczelnik Głównego Urzędu Teatrów Dramatycznych Komitetu do Spraw Sztuki przy Radzie Ministrów ZSRR, W. Pimenow, udzielił naszemu korespondentowi informacji o wynikach zimowego sezonu teatralnego w ZSRR.

Zimowy sezon teatralny w ZSRR przeszedł pod znakiem wytężonej działalności twórczej dramaturgów i teatrów. Znamionuje go wyjątkowa aktywność autorów, którzy w swych utworach rozwijali tematy budownictwa socjalistycznego i umacniali partyjną postawę radzieckiej sztuki teatralnej. Większość autorów potrafiła stworzyć sztuki oryginalne, stanowiące wdzięczny materiał do scenicznego ujęcia. Już suche cyfry, ilustrujące rozpowszechnienie najlepszych sztuk radzieckich w teatrach całego kraju, świadczą o tym, jak ustalone jest ich powodzenie wśród widzów. Np. sztuka „Moskiewski charakter" A. Sofronowa grana jest w 119 teatrach, „Szczęście" P. Pawlenki i „Kodeks honoru" A. Steina są wystawiane w przeszło 100 teatrach każda, „Zielona ulica" A. Surowa, „Cudzy cień" K. Simonowa, „Ognista rzeka" W. Kożewnikowa, „Kto winien" G. Mdiwaniego, „Gdzieś na Syberii" I. Irosznikowej są wystawiane w przeszło 50 teatrach.

Sztuki te przedstawiają ludzi społeczeństwa socjalistycznego, ukazują bliskie już kontury nadchodzącej epoki komunizmu. Dramaturgowie mocno podreślają wielkie zagadnienie nowego stosunku ludzi do pracy, ich dążenia do udoskonalenia procesów pracy i wytwórczości, dumę z doskonałości produkowanych towarów („Moskiewski charakter" i „Kto winien"). Ukazują wytrwałość i poświęcenie, z jakim społeczeństwo radzieckie odbudowuje życie w okolicach zniszczonych przez faszystów, jak walczy o pomyślność i szczęście ojczyzny („Szczęście"). Zaznajamiają z postaciami przodowników pracy i nowatorów, którzy łamiąc przestarzałe formy i uświęcone kanony przekazują swe doświadczenia całemu kolektywowi („Zielona ulica", „Ognista rzeka").

Dużym powodzeniem cieszyły się również sztuki na tematy międzynarodowe. Społeczeństwo radzieckie z zainteresowaniem i sympatią obserwuje życie ludu pracującego w nowych demokracjach. zmierzających do socjalizmu. Dlatego taką popularnością cieszy się sztuka Mikołaja Wirty „Spisek skazanych". W jednym z krajów nowej demokracji został wykryty spisek reakcji i zagranicznej agentury, przygotowującej zamach stanu — taki jest temat tej sztuki, którą wystawiło już ponad 100 teatrów, a w przyszłym sezonie zamierza ją wystawić jeszcze około 30 scen w całym kraju.

Publiczność z zadowoleniem przyjmuje sztuki podkreślające przodującą rolę Związku Radzieckiego w dziele umocnienia sił światowej demokracji w ich walce o pokój, piętnujące knowania podżegaczy wojennych. Należą tu: „Domek bocznej ulicy" braci Tur, „Ja chcę do domu" S. Michałkowa, „Po tamtej stronie" A. Borianowa i inne.

Większość sztuk rosyjskich dramaturgów jest tłumaczona na języki innych narodów ZSRR i wystawiana na scenach ich teatrów. Najlepsze sztuki narodowych dramaturgów tłumaczy się na język rosyjski.

Na Ukrainie wystawiano z wielkim powodzeniem sztuki: „Na progu" A. Dubnowa o radzieckich inżynierach - nowatorach, którzy dzięki racjonalizatorskim projektom powiększają wydajność pracy w fabrykach i śmiało łamią stare kanony; sztuka „Daleka Helena" W. Suchodolskiego o przodownikach - górnikach na jednym z szybów Zagłębia Donieckiego; sztuka Sobki „Za drugim frontem", przedstawiająca jak angielscy reakcjoniści za pomocą faszystowskich metod rozprawiają się z niewygodnymi im ludźmi. Na Białorusi cieszyły się powodzeniem sztuki: „To było w Mińsku" M. Kuczera, „Światło ze wschodu" P. Hlebki, „Pieśń naszych serc" W. Polessiego. W Gruzji: „Kamienie zatopione" I. Mosaszwilego, „Wiosna w Sakenie" G. Gulii. We wszystkich teatrach wzrosła ilość nowych przedstawień. Przyczyniło się do tego właściwe rozmieszczenie sił twórczych, jednoczesne przygotowywanie przez trupę dwóch przedstawień i śmiałe wysuwanie naprzód młodzieży aktorskiej. Komitet do Spraw Sztuki postanowił, aby najpoważniejsze sceny, mianowicie niektóre teatry Moskwy, Leningradu, Kijowa i Tyflisu wystawiały nie więcej niż pięć, sześć sztuk w sezonie, teatry republik związkowych i teatry okręgów — około dziesięciu przedstawień, teatry miejskie i rejonowe — nie więcej jak dwanaście. Rozporządzając obszernym repertuarem, teatry mają możność wybierania interesujących je sztuk i przygotowywania ich z całą starannością.

W ubiegłym sezonie rozpoczęto na szeroką skalę praktykować wyjazdy teatrów do klubów fabrycznych, a teatry miast rejonowych zwiększyły obsługę artystyczną kołchozów. Pracę tę prowadzą również specjalne teatry w kołchozach.

Zakończeniem sezonu jest odbywająca się obecnie wszechzwiązkowa rewia przedstawień na aktualne tematy. W rewii bierze udział 314 najlepszych teatrów dramatycznych całego kraju, które w wyniku ścisłej eliminacji zdobyły prawo uczestniczenia w rewii. Każdy teatr biorący udział w rewii daje po trzy nowe przedstawienia.

Rewia — podkreśla W. Pimenow — wykazała ogromną żywotność twórczej metody realizmu socjalistycznego, która pozwala zespołom teatralnym tworzyć mocno zarysowane, pełne postacie nowych ludzi, walczących o stworzenie społeczeństwa komunistycznego.

Jednakże praca teatrów radzieckich nie ograniczała się tylko do wystawiania sztuk autorów radzieckich. Publiczność radziecka ceni sztuki klasyków rosyjskich i obcych. W teatrach wystawiano utwory dramatyczne, Gorkiego, A. Ostrowskiego, M. Gogola, A. Gribojedowa, L. Tołstoja i Turgieniewa, Szekspira, Moliera, Goldoniego, Lope de Vegi i innych. Przerabiano również na scenę szereg utworów klasycznych.

Wiele teatrów zaznajomiło ponadto widzów z utworami postępowych dramaturgów zagranicznych.

NA PÓŁKACH KSIĘGARSKICH

Stefan Zweig: Gwiazdy ludzkości. Przekład Zofii Petersowej. Okładkę projektował A. Rudziński. Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza", Warszawa, 1948. Str. 223.

Zbiór opowiadań Zweiga pt. „Gwiazdy ludzkości", podobnie jak wielką poczytnością w ostatnich latach przed wojną cieszące się „Maria Antonina", „Maria Stuart" i szereg innych jego książek, należy do kategorii literatury popularno-historycznej z gatunku „vie romancée".

„Gwiazdami ludzkości" nazwał autor kilka wybranych przez siebie z najrozmaitszych czasów i spod najrozmaitszej szerokości geograficznej wydarzeń, których znaczenie historyczne uznał za wybitne. „Zazwyczaj — pisze sam autor w przedmowie — jako kronikarka, historia wiąże tylko ogniwo za ogniwem w swym olbrzymim łańcuchu ciągnącym się przez tysiąclecia, i nize fakty za faktami, gdyż każde wyładowanie wymaga czasu na przygotowanie, a każde rzeczywiście ważne zdarzenie potrzebuje rozwoju... Miliony godzin muszą przepłynąć, zanim rozbłyśnie historycznej wartości a prawdziwa gwiazda ludzkości... Tak dramatycznie ścieśnione, tak brzemienne w skutki momenty, w których wieczyste losy sprowadzone są do jednej jedynej daty, do jednej jedynej godziny, a nawet do jednej jedynej minuty, bywają rzadkie w życiu jednostki, a rzadkie też są w przebiegu historii."

Każdemu z tych wybranych przez siebie dziesięciu wydarzeń poświęca autor jedno opowiadanie. Rola ich polega właściwie na przypomnieniu znanych historycznie faktów, ale zarazem na podkreśleniu i uwypukleniu ich ogólnoludzkiego znaczenia i wpływu na dalszy tok dziejów.

Fakty opisywane są bardzo różnorodne i sięgają najrozmaitszych dziedzin działalności ludzkiej. Obok takich ściśle historycznych wydarzeń, jak klęska pod Waterloo czy zdobycie Bizancjum, znajdujemy opis powstania „Elegii Marienbadzkiej" Goethego, oratorium muzycznego Händla i „Marsylianki", obok zaś obrazu śmierci Tołstoja — opisy bohaterskich i odkrywczych wypraw geograficznych.

We wszystkich tych opowiadaniach, doskonale zbeletryzowanych, mniej chodzi o historyczną ścisłość, a więcej o wyraz literacki, pewien gatunek liryzmu nie pozbawionego niekiedy egzaltacji.

Należy podnieść zalety emocjonalnego przekładu uwydatniającego walory stylistyczne książki.

Irm

ALEKSANDER JACKIEWICZ

Książka tygodnia

OPOWIADANIA ELINA-PELINA

Ukazała się książka znakomitego prozaika bułgarskiego Elina - Pelina x), na którą złożyły się dwa opowiadania: „Gerakowie" i „Ziemia" — w bardzo starannym przekładzie Zofii Wolnik.

Elin - Pelin, którego prawdziwe nazwisko brzmi Dymitr Iwanow, w ciągu z górą pięćdziesięciu lat swej działalności twórczej dał się poznać jako wyraziciel buntu postępowych elementów Bułgarii przeciwko konsekwencjom ustroju kapitalistycznego. Sam chłop z urodzenia, brał w obronę wieś bułgarską przeciwko wyzyskowi ze strony burżuazji przemysłowej, urzędników oraz kleru. Dzieła Iwanowa dawały obraz moralnego i gospodarczego rozkładu życia ludu w ustroju, który na przełomie stuleci zastąpił dawny porządek patriarchalny. Elin-Pelin należy do tej licznej plejady twórców europejskich epoki mieszczańskiej, którzy, uważając się często wprawdzie za pisarzy apolitycznych, byli jednak przez krytyczny realizm swych dzieł związani z walką narodów o demokrację i sprawiedliwość społeczną. Ten moment walki naród bułgarski potrafił ocenić w bogatej twórczości nestora literatury swego kraju, w roku ubiegłym obchodząc uroczyście siedemdziesięciolecie jego urodzin.

Dwa opowiadania Elina - Pelina, które na początek będą reprezentować go w naszej literaturze przekładowej, są z sobą związane ideowo i tematycznie. W „Gerakach" autor obrazuje rozkład starej, patriarchalnej rodziny chłopskiej, w „Ziemi" zaś rozwija, zaznaczony również w poprzednim utworze, motyw nieposkromionej żądzy posiadania, która przynosi nieszczęście bogacącemu się chłopu i prowadzi do zguby jego najbliższe otoczenie.

Autor zaczyna i kończy „Geraków" motywem sosny, świętości rodzinnej, która symbolizuje potęgę Geraków; sosnę tę przywieźli ich przodkowie z gór, gdy osiedlili się na równinie. W ostatnim etapie rozkładu rodu i rozdziału ziemi, na której dotąd wspólnie pracowali wszyscy Gerakowie, sosna zostaje ścięta. Pomiędzy te dwa momenty wprowadza autor fabułę dość niejednolitą, chociaż mającą wymowę całkowicie jednoznaczną. Niejednolita jest fabuła ze względu na historyczną, że tak powiem, postawę pisarza. Postaram się to wyjaśnić.

Twórca, wyrosły w tradycjach literatury mieszczańskiej, z jej indywidualistycznymi skłonnościami, nie zawsze dokładnie potrafi ukazać właściwe motywy rozstrzygające o postępowaniu jego bohaterów. Rozkład rodziny Geraków nie został w opowiadaniu poparty analizą przemian, jakie zachodzą w poszczególnych jednostkach pod wpływem ogólnego układu sił decydujących o formach życia. Rodzina Geraków psuje się moralnie, staje się kłótliwa, żądna władzy i posiadania — w momencie gdy umiera matka rodu, ale przecież jej śmierć jest faktem, który wyzwala w ludziach uprzednio już nagromadzone elementy rozwinięte na skutek konkretnego ustroju życia zbiorowego. Ten moment w opowiadaniu Elina-Pelina zostaje podkreślony, i to dość ogólnie, odnośnie tylko postaci Pawła Geraka, który, opuściwszy wieś rodzinną dla zawodowej służby wojskowej, pociągnięty urokami życia miejskiego, wraca do domu zupełnie zmieniony. Z wesołego i prostodusznego chłopca stał się mężczyzną zgorkniałym i do wszystkiego zniechęconym. Nie kocha już swojej żony, którą pozostawił na wsi, oderwał się od ziemi, która jest mu już zupełnie obca, marzy o założeniu sklepu i robieniu pieniędzy.

O ile większa część opowiadania jest ujęta w formę dość pobieżnej relacji, o tyle ostatnią jego partię wypełnia opis tragedii zacnej, uczciwej i kochającej Elki — żony Pawła. Na jej przykładzie podkreśla autor, że społeczna deprawacja jednostki ma w ten czy inny sposób wpływ na tych, którzy pozostali wierni czystości obyczajów, tradycji sprawiedliwego życia. Paweł podczas swego krótkotrwałego pobytu na wsi zaraża żonę chorobą weneryczną. Pełny dramatycznego wyrazu jest obraz cierpień kobiety zbliżającej się do nieuchronnej śmierci, otoczonej nienawiścią czy obojętnością reszty rodziny, która ma chorej za złe właśnie to, że jest lepsza, uczciwsza od swego otoczenia. Ucieczka chorej Elki nad rzekę, gdzie zamierza popełnić samobójstwo, należy do najmocniejszych scen utworu. Cierpienia wewnętrzne bohaterki, zgodnie z literacką tradycją, autor transponuje na przejmujący opis natury, podczas ucieczki Elki — niespokojnej, wietrznej, burzliwej. Pisarz czyni to zresztą z wyjątkowym umiarem, wiatr, chmury, niesamowite światło księżyca — przeplata się z wzruszającym obrazem zacnego staruszka Margalki śpieszącego Elce na ratunek; jego zawzięta walka z własną starczą słabością i z przeciwnościami natury — posiada wyraz głęboko ludzki. Przejmujący zwłaszcza jest moment, gdy Elka w objęciach staruszka „ma słodkie przekonanie, że nie jest już sama", że ktoś się nad nią ulitował, ktoś ją do swego serca przygarnął.

Motyw ludzkiej samotności wynika u Elina - Pelina z jego indywidualistycznego stosunku do zagadnienia człowieka. W ujęciu tym świat dzieli się na jednostki dobre i złe z natury. Pisarz nie koryguje moralnej postawy człowieka przez ukazywanie wpływów, jakie ma na niego kształt życia zbiorowego, chociaż, jak już wyżej zaznaczyłem, skutki tych wpływów, nie zawsze przez pisarza uświadomionych, zostały w jego opowiadaniu oddane prawidłowo i z wielkim artyzmem.

Motyw indywidualizacji bohatera zaznacza się jeszcze wyraźniej w utworze pt. „Ziemia". Chociaż jednak postać bogatego chłopa — Enia — opętanego przez pasję posiadania, nie została związana z określonymi warunkami epoki, w jakiej się rozwinęła, i przez to przybrała charakter pozaczasowy — otrzymaliśmy w opowiadaniu wnikliwe studium samej namiętności i jej skutków w pewnym środowisku.

„Ziemia" posiada motywy pokrewne z oryginalną twórczością ludową. Występują tu ludzie zdecydowanie dobrzy i zdecydowanie źli, piękni i pokraczni. Walory wewnętrzne idą często w parze z wyglądem zewnętrznym. Jest tu, jak i w poprzednim opowiadaniu, element przedmiotowy, symbolizujący dawną siłę zwycięską i jedność rodu — wiekowy dąb rosnący na ziemi Iwana, brata Eniego — końcowy fragment, w którym spala się na węgiel ciało niesprawiedliwego bohatera, ma też swoje wzory w twórczości ludowej. Są to motywy decydujące wprawdzie o pewnej stylizacji utworu, nie wpływają jednak na odrealnienie fabuły.

Postać bohatera, która wypełnia właściwie cały utwór, została oddana przez autora z dużą prawdą, elementy dobra i zła walczą w niej o pierwszeństwo, ta właśnie walka czyni ją przekonywującą. Otóż Enio oscyluje między miłością do pięknej, ubogiej Cwety a obłąkańczą pasją powiększania swego majątku, bez względu na środki, jakich w tym celu się ima. Te dwa nurty przeplatają się wzajemnie na przestrzeni całego opowiadania, wpływając na jego równą, rytmiczną konstrukcję.

Książkę Elina - Pelina, jej styl cechuje kunszt literatury, należącej już wprawdzie do minionej epoki, ale trwałej dzięki swym walorom humanistycznym i bezwzględnej sprawiedliwości wymierzanej światu, jaki ukazuje.

Aleksander Jackiewicz

x) *Elin - Pelin:* „Gerakowie — Ziemia", tłum. Zofia Wolnik. Wyd. Zdzisława Gustowskiego, Poznań 1949.

BIBLIOTEKA PRASY ROBOTNICZEJ

Biblioteki dla czytelników - prenumeratorów „Trybuny Ludu", „Trybuny Robotniczej", „Chłopskiej Drogi" i „Gromady" organizowane są przez spółdzielnią wydawniczą „Książka i Wiedza" wespół z wymienionymi redakcjami oraz Robotniczą Spółdzielnią Wydawniczą „Prasa".

Każdy prenumerator jednego ze wspomnianych pism, który wpłaci dodatkowo miesięcznie 80 zł., otrzyma co miesiąc wartościową książkę, przeciętnej objętości 250 stron. W lipcu ukazały się już następujące książki:

„Biblioteka Trybuny Ludu": „Opowieść o prawdziwym człowieku" — Borysa Polewoja, „Biblioteka Trybuny Robotniczej": „Życie to walka" — Jana Lafitte, „Biblioteka Chłopskiej Drogi": „Placówka" — Bolesława Prusa.

W następnym miesiącu ukażą się:

„Biblioteka Trybuny Ludu": „Ojczyzna" — W. Wasilewskiej, „Biblioteka Trybuny Robotniczej": „Ojczyzna" — W. Wasilewskiej, „Biblioteka Chłopskiej Drogi": „Stara Baśń" — J. I. Kraszewskiego, „Biblioteka Gromady": „Stara Baśń" — J. I. Kraszewskiego.

Jako dalsze pozycje w ramach „Biblioteki Trybuny Ludu" przewidziane są nast. książki:

„Paryż we krwi" —René Cassou, „Miasto niepokonane" — Kazimierza Brandysa, „Faraon" — Bolesława Prusa, „Daleko od Moskwy" — Wasyla Ażajewa.

PRZEGLĄD PRASY

Nie zwężać zainteresowań

Ograniczanie naszych zainteresowań do literatury — a tak niestety dzieje się przeważnie w prasie literackiej — jest niesłusznym, moim zdaniem, zwężaniem zakresu zainteresowań sztuką i kulturą, który oczywiście powinien być jak najszerszy, zarówno dlatego, że kultura wyraża się nie tylko przez słowo pisane, jak i dlatego, że sztuka inaczej przemawia dźwiękiem, inaczej kształtem, inaczej słowem, choć zawsze przemawia do człowieka i mówi o człowieku. Pisarstwo jest chyba tylko jednym ze sposobów artystycznego wypowiadania się o rzeczywistości. Z doświadczenia wiadomo nam, że niezawsze literatura ma głos najbardziej doniosły. Okres rewolucji burżuazyjnej nie dał np. bezpośrednio takiej literatury, którą byśmy dziś jeszcze z zapałem czytali. Czytamy encyklopedystów i Stendhala, ale nie pamiętamy, że Diderot umarł w 1784 roku, a „Czerwone i czarne" ukazało się w roku 1831. Między tymi datami książki oczywiście się ukazywały i istniała literatura. Ale była to albo literatura porewolucyjnej reakcji: Chateaubriand i de Maistre, albo literalnej opozycji przeciw Restauracji — Béranger, Constant. Arcydzieł na miarę encyklopedystów lub „Czerwonego i czarnego" nie było. Constant jest świetnym pisarzem, Béranger uroczym piosenkarzem, ale pierwszy jest dla smakoszów, drugi zaś stracił już swój buntowniczy charakter. Sam okres rewolucyjny dał mnóstwo broszur, pamfletów itd., ale nie dał trwałych dzieł literackich. Natomiast w malarstwie dał Davida i jego szkołę, Davida, który może się podobać lub nie (mnie podobają się tylko jego portrety, wielkie zaś obrazy alegoryczne nie należą do ulubionych przeze mnie obrazów), ale któremu niesposób odmówić, że był malarzem rewolucji, że jego sztuka służyła rewolucji mieszczańskiej i że był to malarz o wielkim wpływie i znaczeniu.

Oto przykład świadczący, że rzeczywistość historyczna, ideologia polityczna itd. nie zawsze musi się wyrażać najdoskonalej w literaturze, że inne sztuki są nie mniej niż literatura podatne na wpływ historii, że wcale nie są bardziej „akademickie" czy „oderwane" niż literatura, tak żywo reagująca dziś na przemiany ustroju społecznego i ekonomicznego np. w ZSRR. Wszystkie sztuki — jeśli są uprawiane z myślą o człowieku, jeśli pragną coś przekazać człowiekowi, w równej mierze są podporządkowane zmianom dokonywanym przez człowieka na ziemi. Po raz pierwszy dzieje się tak, że te zmiany są dokonywane świadomie, to też świadomym przekształceniom ulega cała teoria sztuki. Na odcinku literatury te przekształcenia są najbardziej widoczne — od analizy i krytyki pisarz przechodzi do syntezy i konstrukcji. Realizm socjalistyczny — tak jak go rozumiem — jest metodą, ściślej mówiąc, jest nową ideologią artystyczną. Ta ideologia jest równie szeroka, jak ideologia realizmu krytycznego. I Balzac i Stendhal są przedstawicielami realizmu krytycznego. Czy jednak dzieła ich są podobne, czy styl, sposób pisania, metoda krytykowania urządzeń wieku, w którym żyją, sposób ukazywania sprzeczności zawierających się w społeczeństwie burżuazyjnym jest jednakowy? Podobnie nie sądzę, by realizm socjalistyczny zakładał automatyczne podobieństwo książek, obrazów, muzyki.

W malarstwie i w muzyce, gdzie strona techniczna tworzenia jest znacznie bardziej skomplikowana, łatwiej może o nieporozumienia niż w literaturze. Nikt z nas nie zakwalifikuje sentymentalnej opowiastki o niedoli chłopskiej czy robotniczej do kategorii literatury socjalistycznego realizmu. Często się natomiast zdarza, że podmalowana fotografia lub stary kicz zachęciarski rości sobie pretensje do „nowej, uspołecznionej" sztuki. Do tego należy dodać jeszcze mniejsze stosunkowo wyrobienie artystyczne przeciętnego widza czy słuchacza niż czytelnika. Książka, druk — zawsze były więcej rozpowszechnione niż obraz czy symfonia. Jeżeli więc najważniejszym, naczelnym zadaniem pism dyskutujących dziś o sprawach sztuki i to zarówno pism literackich, jak fachowych — plastycznych czy muzycznych — jest walka z mieszczańskimi kierunkami rzekomo nowoczesnego subiektywizmu, to trzeba też — właśnie w imię realizmu socjalistycznego — mieć się na baczności przed farbowanymi lisami, po to, by uniemożliwić przemycanie starej, tandety mieszczańskiej jako nowej sztuki odpowiadającej postulatom naszego okresu historycznego.

ph

Noty

Cud berliński

Cała prasa przedrukowała już fragmenty niemieckiego przemówienia papieża Piusa XII do ludności Berlina. Przemówienie to jest najpełniejszym, jak dotąd, wyrazem stosunku Piusa XII do Niemców. Pobrzmiewa w tym przemówieniu nuta liryczna, wzruszenie. Papież wygłosił swoją mowę niemiecką na prośbę kardynała Konrada von Preysing: „Ze wzruszeniem spełniam prośbę waszego arcypasterza, naszego ukochanego syna kardynała Konrada von Preysing, o przysłanie wam naszego błogosławieństwa".

Papież, który milczał, gdy w gruzy szły miasta koalicji antyhitlerowskiej, gdy płonęła Warszawa, gdy miliony ludzi ginęły w obozach zagłady i ulatniały się w dymach pieców krematoryjnych, papież który milczał wtedy i przyjmował na swym dworze oprawców hitlerowskich, ten sam papież mówi teraz do berlińczyków w ich własnym języku te słowa: „miasto wasze dotknął los z apokaliptyczną straszliwością. Wstrząsające okrucieństwa wojny i zniszczenia stały się rzeczywistością dla waszego miasta. Okropne skutki wojny odbiły się na mężczyznach, kobietach, młodzieży niemowlętach, miastach i prowincjach.

W roku 1926 w pamiętny dzień sierpniowy na placu Brunow przemawialiśmy wobec tłumów wiernych przesiąkniętych radością wiary i odwagą malującą się na czole i w oczach słuchających. Dzień ten staje przed nami w pamięci, w dniu tym bowiem mówiliśmy o gigantycznie wzrastającym przemyśle Berlina, o jego kulturze materialnej i nieprzerwanym dążeniu do wytwarzania dóbr ziemskich".

Myśmy poznali na własnej skórze ów przemysł niemiecki, owo „nieprzerwane dążenie" — nach Osten! Nawet to wyrażenie „na własnej skórze" nie było w owych niedawnych czasach przenośnią. Ze skóry pomordowanych robili hitlerowcy rękawiczki. Wiadomo. Włosy zaduszonych kobiet szły na materace. Wiadomo. Tylko „namiestnik Chrystusa" nic o tym wiedzieć nie chce. A przecież ów „arcypasterz, ukochany syn" (hitlerowski) kardynał Konrad von Preysing wie coś niecoś o tym i mógłby Ojca Świętego dokładnie poinformować. Lecz Ojciec Święty westchnąwszy świętobliwie nad cierpieniami i nędzą narodu niemieckiego, nie chce przywoływać wspomnień z lat wojny, wspomnienia te bolą go, dlatego że są bolesne dla Niemców, którzy pamiętają bombardowanie Berlina.

„Ale nie chcemy zatrzymać się na ponurych wspomnieniach ubiegłych lat. Lata te były świadkami również wielu wzniosłych rzeczy, niewzruszonej wiary, której nie mogła złamać przemoc ani klęska zawiedzionych w nadziei Niemców. Niewzruszonej cnoty, która się nie bała nawet śmierci, gdy szło o boskie przykazanie. Szczerej miłości bliźniego, która przejawiała się wspaniale w czasach bezdomności, nędzy i głodu".

„Klęska zawiedzionych w nadziei". Biedni hitlerowcy.. nie spełniły się ich nadzieje. Nie podbili świata, nie ugruntowali tysiącletniego panowania Rzeszy na ziemi! Biedny papież Pius XII! Cóż mu pozostało? Pociecha wszystkich zawiedzionych i zwyciężonych, nadzieja na przyszłość. Mówi więc: „Przyszłość jest jeszcze ukryta i nieznana. Złóżcie ją w ręce Boga i trwajcie przy nim". Ów Bóg, — pociesza niedwuznacznie papież hitlerowski swoich wiernych Niemców — ów Bóg przywróci na ojczyzny łono wygnańców z Ziem Odzyskanych przez Polskę... I kończy to haniebne przemówienie lirycznym westchnieniem i politycznym błogosławieństwem:

„Wasze troski i nadzieje, umiłowani synowie i córki powierzamy Wszechmocnemu w niebiesiech i na ziemi, polecamy was opiece Najświętszej Marii Panny i udzielamy wam, całej diecezji berlińskiej, miastom, wsiom i ludowi, z całego serca naszego apostolskiego błogosławieństwa jako rękojmi pomocy boskiej".

Już stał się jeden cud, cud lubelski. Teraz możemy czekać na drugi cud, cud berliński.

rkm

Podejrzany liberalizm

W jednym z ostatnich numerów „Dziś i Jutro", w dziale: „Czytelnik uważa, że..." ukazała się między innymi krótka wzmianka o wydawnictwie popularnym RSW „Prasa", „Co Tydzień Powieść". Rozumiem, że pismo ukazujące się pod redakcją Bolesława Piaseckiego jest pismem liberalnym i pozwala swoim czytelnikom wypowiadać na ostatniej stronicy najrozmaitsze uwagi. Ale nie rozumiem, dlaczego liberalna redakcja tegoż pisma drukuje wypowiedzi czytelników, nie sprawdzając, czy są one merytorycznie prawdziwe. Taki liberalizm jest co najmniej przesadny, a w danym wypadku — jak to zaraz zobaczymy — napewno niesłuszny i szkodliwy.

Otóż w jednej z takich wypowiedzi zostało zaatakowane wydawnictwo RSW „Prasy" pt. „Co tydzień powieść" za rzekome szerzenie pornografii i złego smaku. Traf chce, że wydawnictwo to dość radykalnie zmieniło, przed półtora rokiem swoje oblicze i że przez kilkanaście ostatnich miesięcy drukuje albo fragmenty arcydzieł klasycznej literatury światowej (Defoe, Maupassant, Tołstoj, Sałtykow-Szczedryn etc.) albo też fragmenty utworów współczesnych pisarzy polskich (Brandys, Rudnicki, Sowiński i td.) i obcych. Oczywiście — wydawnictwo RSW „Prasa" ma na widoku cele artystyczno-wychowawcze i jest rzeczą jasną, że dobór utworów odbywa się tu na innej nieco zasadzie niż w pismach katolickich. Jednakże nie znaczy to, że wszystko co wychodzi spod pióra pisarzy laickich, to pornografia — bo tak tylko można zrozumieć zarzut niefortunnego korespondenta „Dziś i Jutro", skoro w omawianym przez niego wydawnictwie od półtora roku drukuje się utwory literackie albo klasyków albo pisarzy współczesnych.

Mam za złe liberalnej redakcji „Dziś i Jutro", że nie sprawdziła danych swojego korespondenta. Mam jej to za złe dlatego, że wydawnictwo popularne „Co tydzień powieść" zerwało właśnie ze złą tradycją szmiry, tandety i pornografii, ze złą tradycją dawnych wydawnictw obliczonych na naiwne, trzymane w ciemnocie i zabobonie „szare masy czytelnicze", którym jedną ręką podsuwano „Jacka Texasa", drugą zaś „Rycerza Niepokalanej".

ph.

Zasługi wydawców

Dla badacza historii rozwoju kultury niepoślednie znaczenie będzie kiedyś miała bibliografia druków wydawanych w Polsce od roku 1945. Uważny i rozsądny badacz będzie musiał się zastanowić nie tylko nad gwałtownym wzrostem ilościowym w dziedzinie produkcji książek, ale przede wszystkim nad tym, co nazwałbym wzrostem poziomu zapotrzebowania czytelników. Widać to zwłaszcza w doborze autorów i tytułów i jest to nierozdzielne od wzrostu zapotrzebowania ilościowego.

Nowi czytelnicy, rekrutujący się dziś z warstw pracujących chcą się uczyć. W tym wyraża się decyzja nowej, młodej klasy społecznej, która przejmuje w swoje ręce i gospodarkę, i kulturę. Uczyć się, to znaczy zarówno sięgać do tradycji, jak i do najdoskonalszych, najbardziej postępowych osiągnięć współczesnych. Stąd podwójne zainteresowania — dla starej i dla nowej literatury. To też dzisiejszy rynek wydawniczy nie jest podobny do rynku wydawniczego sprzed wojny. Zwłaszcza w dziedzinie literatury dawnej. Nigdy przed wojną nie działo się w Polsce tak, by w ciągu jednego roku ukazało się w takiej ilości egzemplarzy tyle arcydzieł klasycznej literatury europejskiej, jak się to dzieje choćby w jednym tylko roku 1949.

Maupassant — autor znany, ceniony i szanowany przed wojną, ale wydawany w ostatnim dwudziestoleciu bardzo rzadko — doczekał się już trzech pozycji książkowych, nie licząc przedruków i popularnego wydania w „Bibliotece Romansów i Powieści" Czytelnika, czy też w „Co tydzień powieść" RSW „Prasy". Jako kolejny tom ukazał się ostatnio nakładem „Książki i Wiedzy" — „Spadek", obejmujący prócz tytułowego jeszcze kilka innych opowiadań.

Wydanie zbiorowe dzieł Elizy Orzeszkowej („Książka i Wiedza"), które w pewnej chwili utknęło jakby na martwym punkcie, posuwa się jednak naprzód. Nowy, XXVI tom „Pism" przynosi „Dwa bieguny".

Nakładem „Wiedzy" z zasiłku Prezydium Rady Ministrów, staraniem Warszawskiego Tow. Filozoficznego, ukazał się tom II „Państwa" — Platona w przekładzie Witwickiego. Oto nasz sezon ogórkowy!!

ph.

Credo francuskiej V kolumny

Książka, którą kupiłem przypadkiem u nadsekwańskiego bukinisty za śmieszną sumę 10 franków, wydana została przez „La revue moderne" w Paryżu w nakładzie 500 numerowanych egzemplarzy. Nazywa się szumie „CREDO A LA FRANCE" i jest zbiorem wierszy nagrodzonych na ogólnonarodowym konkursie poetyckim. Wiersze czczą Pétaina, wynoszą jego osobę, chwalą jego idee i zamierzenia. We wstępie zakończonym fotografią marszałka i jego własnoręcznym listem do wydawcy, René Bastiena, projektodawca konkursu i jeden z nagrodzonych „poetów" pisał o swoich kolegach: „Oto prawdziwi poeci odradzającego się narodu, oto **nasi** poeci!". Ci „nasi poeci" wymienieni na tytułowej stronie jako zbiorowy autor książki, rekrutujący się rzekomo ze „wszystkich warstw społecznych i zawodowych narodu", dali obraz najhaniebniejszego upodlenia Francji. Nie wszystkie wiersze są czytelne, bo książka jest kopią autentycznych rękopisów. Wystarczą jednak te, których odczytanie nie sprawiało trudności, jak np. poniższy „poemat" dedykowany „Marszałkowi pokoju", pióra niejakiego Raoula Alberta Bodinier:

Kiedyś powiedział swym ojcowskim głosem:
„Przyjaciele, wstrzymajmy nierozsądną walkę!"
Stałeś się najwspanialszym żołnierzem Europy,
Która powinna przecież być braterska.
Bo, nasz marszałku, w swej pięknej karierze
Zdobyłeś sobie dzisiaj nieśmiertelną sławę,
Skoro wybrałeś pokój, gdy świat tonie w rzezi,
A dalszą walkę uznałeś za zdradę.

Nasz biedny kraj będzie jutro piękny,
Jeśli uściśnie dłoń swojego wroga,
Którą niegdyś odrzuciła Marianna błądząca

Ty zaś zostaniesz dla nas jak prawdziwy święty,
Skoro w czerwcu roku czterdziestego
Spełniłeś sen walczących podczas pierwszej wojny.

Jeszcze więcej hańby tkwi w parafrazie modlitwy „Ojcze nasz" pióra George Gérarda (str. 89):

Ojcze nasz,
który jesteś u naszego czoła
święć się imię twoje,
przyjdź królestwo twoje
dziej się wola twoja,
chleba powszedniego daj nam dosyć
a Francji istnienie,
nie pozwól nam upaść w kłamstwo
i wybaw nas od zła wszelkiego
o Marszałku!

Tych kilka wierszy przypomniałem sobie, kiedy prasa francuska przyniosła informacje z przebiegu licytacji dóbr byłego marszałka. W prasie prawicowej sprawozdania ograniczały się jedynie do kilku skąpych zdań, z których czytelnik mógł się dowiedzieć, że grupa „podekscytowanych" widzów starała się zapobiec sprzedaży. Prasa lewicowa zajęła się wypadkiem obszerniej. Bo te okrzyki „Niech żyje Pétain!" i „Hurra Pétain!", które przeniosły małą salę przy ulicy Richelieu w okres okupacji, nie były odosobnioną **i przypadkową manifestacją, były jed**nym z ogniw wielkiego łańcucha, w którym splatają się antyrepublikańskie manifestacje gaulistowskiej rady miejskiej Paryża, prowokacyjne „publiczne sprzedaże" pamiętników, wspomnień i innych „historycznych dzieł" czołowych kolaboracjonistów (ostatnio np. dedykował swoją książkę b. szef gabinetu Pétaina!) i coraz częstsze rozprawy przeciw członkom Ruchu Oporu.

Na licytacji wystawiono kilka drobnych przedmiotów bez specjalnej wartości: skrzynie z książkami, parę obrazów, dywany i wazy, o których katalog pisał, że „są w złym stanie", jakieś laleczki, figurki, makiety statków. Nie było ani mebli, ani zbiorów, ani całego majątku, który został zdobyty podczas rządów Vichy, a który miał być, zgodnie z wyrokiem sądu sprzed lat czterech, skonfiskowany na rzecz państwa. Zresztą manifestantom bynajmniej nie chodziło o wartość materialną obiektów sprzedaży. Dla nich to były relikwie. „Nie chodzi o pieniądze! -- krzyczał jeden z „protestujących", markiz de Belleval — lecz o honor Francji!"

„Gdybyż chodziło o robotników, jak wielką widzielibyśmy gorliwość naszych władz! Ale piękny światek pétainowców jest nietykalny. Co najwyżej poklepie się kilku z nich delikatnie po ramieniu, mówiąc: „Dajmy pokój, proszę! Nie ma o czym mówić!" Nie dość, że wystarczyło być członkiem Ruchu Oporu, aby być dziś podejrzanym, nie dość, że prześladuje się maquisardów i partyzantów z FFI, ale zostawia się wolne pole do działania całej bandzie pétainowców, którzy wierzą, że ich godzina się zbliża".

Tak pisał „Franc - Tireaur", który tak przecież poważnie się już oddalił od linii „wolnych strzelców" z czasów wspólnej walki z Niemcami.

Bo podczas, gdy nie zaaresztowano nikogo z faszystowskich manifestantów, gdy paryski sąd wojskowy zwolnił trzech oficerów niemieckich oskarżonych o zbrodnie wojenne, nie licząc się z dowodami ich winy i z najelementarniejszym prawem ludzkim - rodzi się „tendencja do traktowania byłych walczących z Niemcami w formacjach FFI tak, jak ich traktowali sami Niemcy, gdy rozstrzeliwali ich z miejsca... szczycąc się codziennym kontyngentem terrorystów. W ten sposób degraduje się Francję". To napisał Rémy Roure w „Le Monde", który w swoim obiektywizmie nie wszystkie kierunki darzy jednakową sympatią.

Jeden oficer niemiecki nazywał się z francuska von Faber du Faur, był generałem i szefem dystryktu Bordeaux. W roku 1941 zastrzelił 50 zakładników w odwecie za zamach na jakiegoś oficera Wehrmachtu. Dziś się tłumaczy: „Protestowałem i prosiłem o odroczenie egzekucji. Generał Stülpnagel był jednak bezlitosny i wtedy rozstrzelano zakładników. Ale ja nie zajmowałem się przeprowadzeniem egzekucji". Drugi oficer nazywa się von Rotberg. Był generałem i szefem dystryktu w Dijon. Liczba zakładników, których rozstrzelano w zasięgu jego władzy jest nieustalona. Dziś się tłumaczy: „Otrzymywałem rozkazy od Stülpnagla, ale w rzeczywistości byłem naprawdę po stronie tych niewinnych". Trzeci oficer nazywa się Kalbel. Był kapitanem i przeprowadził masakrę w Chateaubriand. Wg. niego winny był także Stülpnagel, wojskowy komendant Paryża, który popełnił samobójstwo w celi więziennej. Rozprawa trwała dwa dni. Rozstrzelanie 29.665 zakładników na terenie Francji trwało napewno dłużej. Napewno też było ich więcej, ale nie znaleziono wszystkich zwłok.

Ruch Oporu? Kolaboracjonista Alfred Fabre - Luce twierdzi, że ten „prawdziwy" był prowadzony jedynie przez elementy współpracujące „zręcznie i podstępnie" z rządem Vichy. „Nasza podwójna gra — pisze — zawierała rzeczywistą siłę ducha". Dziś już nie prowadzą podwójnej gry, bo i po co? Historia męczenników z Mont Valérien zamienia się w opowieść fantastyczną. Zapomina się stopniowo o poległych z Vercors, mordercy Oradouru czekają wciąż jeszcze rozprawy, a kolaboracjoniści i chwalcy „nowego ładu" wołają gromko o amnestię. Nie dla uwięzionych górników.

Mariusz Margal

POLONICA NIEMIECKIE

Zainteresowanie Polską ze strony postępowych i rewolucyjnych pisarzy niemieckich ma za sobą długą tradycję w niemieckiej literaturze. Wystarczy przypomnieć podejmowanie tematów polskich w epoce romantyzmu. Z tematami polskimi stykamy się też obficie w niemieckiej literaturze emigracyjnej, o czym dotychczas mało w Polsce wiadomo.

Pierwszym, który nie pozostał obojętny na wydarzenia w Polsce w 1939 roku, był Bertold Brecht. Ten znany pisarz antyfaszystowski, tłukący się od 1933 roku po całej Europie a później za oceanem i walczący piórem z hitleryzmem, w wierszu „Der Kinderkreuzzug 1939" opowiada o dzieciach polskich pozbawionych strawy i dachu nad głową, tułających się w czasie jesiennych i zimowych roztopów pierwszego roku okupacji po własnej, niszczonej przez nieludzkiego wroga, ziemi. Język Brechta nie sili się na żadne ozdoby poetyckie a mimo to jest głęboko poetycki. Utwór jego nie został dotychczas przełożony na język polski.

Napaść hitlerowców na Polskę była też treścią jednego z wierszy emigracyjnego poety Maxa Hermanna Neisse.

Cierpienia ludności polskiej w obozach koncentracyjnych, zwłaszcza znęcanie się siepaczy hitlerowskich nad dziećmi w obozach lubelszczyzny, to temat wiersza Johannesa R. Bechera „Buciki dziecięce z Lublina" (wiersz w tłumaczeniu polskim niżej podpisanego zamieściła „Odra" z 21 listopada 1948 r.). Johannes R. Becher, obecny prezes niemieckiego demokratycznego „Kulturbundu" w Berlinie, napisał wiersz ten na emigracji w Moskwie na wieść o spaleniu wielkiej ilości dzieci w piecach krematoryjnych Majdanka.

Znany satyryk Horst Lommer w tomie „Das tausendjaehrige Reich" (Aufbau-Verlag, Berlin 1946) zamieszcza wiersz „Wyprawa na Polskę", w którym ironizuje na temat pretensyj Hitlera do ziem polskich.

Z innych poetów tematy polskie podejmowali Hermann Adler, autor cyklu wierszy „Gesaenge aus der toten Stadt", wydanych w czasie wojny w Zurychu, mówiących o cierpieniach Polaków i Żydów w czasie okupacji hitlerowskiej, oraz Peter Huchel, poeta chłopskiego pochodzenia, który w wierszu „Polski żniwiarz" (Der polnische Schnitter) kreśli sylwetkę żniwiarza rzuconego losami wojny na zachód Europy i tęskniącego do swego kraju.

Jeżeli chodzi o tematy polskie poruszane w prozie niemieckiej, na czoło wysuwają się opowiadania Gerharta Pohla (m. in. „Sohn der Prophezeiung" i „Unser Brot"). Na tematach polskich osnuta jest również dłuższa nowela Ernesta Pentzolda „Zugaenge" (Suhukamp-Verlag, Berlin 1947), opowiadająca o losach polskiego jeńca w niemieckim szpitalu. Humanistyczna postawa autora budzi zaufanie do jego utworu. Utworem o dużych wartościach treściowych i formalnych jest proza Luisy Rinder „Jan Lobel aus Warschau" (Harriet Schleber-Verlag, Kassel 1948) — o losach uchodźcy polskiego przechowywanego w niemieckim domu robotniczym. Konflikt, jaki powstaje między matką a pasierbicą z powodu ukrywania Polaka, narysowany jest z dużym realizmem a sama postać potraktowana z dużym zrozumieniem.

Nie jest rzeczą przypadku, że prawie wszyscy wymienieni pisarze mieszkają w radzieckiej strefie Niemiec.

Jan Koprowski

OD REDAKCJI

Zawiadamiamy wszystkich, którzy nadsyłają nam swoje prace z propozycją umieszczenia ich, że zgodnie z panującym powszechnie i oddawna zwyczajem, redakcja nie ma obowiązku zwracania rękopisów niezamówionych, o ile nie przyjęła ich do druku. Obciąża to nie tylko kancelarię redakcyjną, ale zwiększa w sposób nieuzasadniony wydatki redakcji. Wprowadzamy więc także w „Kuźnicy" zasadę: rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

TREŚĆ NR 29

Mieczysław Jastrun — Humanizm naszego czasu; **Kandyd** — Oblicze miasta; **Lucjan Rudnicki** — Z więzienia na wolność; **Jarosław Iwaszkiewicz** — Trawa na trasie; **Lesław M. Bartolski** — Dzieło i elementy; **Józef Sigalin** — Trasa W—Z; **Stanisław Brucz** — Federico Garcia Lorca; **Federico Garcia Lorca** — Święty Rafał; **Ignacy Witz** — Na nowe pozycje w plastyce; **Aleksander Jackiewicz** — Bankructwo Mianowskich; **Przegląd Prasy** — **Korespondencja; Noty.**

MIECZYSŁAW JASTRUN

MICKIEWICZ

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Cena 700 zł. str. 410

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 12a (Frascati 1) pokój 413, IV p. tel. 4-01-80, w. 45 Adres administracji, Wiejska 12. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca

Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 80.—: kwartalnie zł 240.—: półrocznie zł 480—; rocznie zł 960.— Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-10900. Adres prenumeraty: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5

B-51461